ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK VI. NR 8 (244)

LONDYN, 24 LUTEGO 1952 R.

ZOFIA KOSSAK

„SŁUDZY NIEUŻYTECZNI JESTEŚMY"

Według starej legendy, św. Pachomiusz żył w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, na pustyni. W owych czasach na pustynie chronili się często ludzie stroniący od świata, pokus, grzechu i bałwochwalstwa. Pachomiusz mieszkał w swej samotni przez kilkadziesiąt lat i cieszył się powszechną opinią świętości, na co w zupełności zasługiwał. Z miasta odległego o parę dni drogi, schodzili się doń ludzie proszący o radę, modlitwę albo naukę. Nikt nie odchodził zawiedziony, a stary pustelnik, zawsze cierpliwy, wyrozumiały, łagodny wobec skruchy, nieustępliwy wobec grzechu, mądry, siwobrody, wyzbyty wszelkich potrzeb, czuł się doskonale szczęśliwy i napełniony pokojem. Nocą spał w grocie okryty skórą baranią, w dzień grzał się na słońcu pod skałą i myślał o rzeczach niebieskich.

W czasie takich dumań nawiedziła go raz myśl, z ciekawości zrodzona, której starzec, choć wiedział że płocha, odpędzić od siebie nie umiał. Mianowicie: Do jakiego też świętego, on, Pachomiusz, jest podobny? Koło którego z Apostołów, Uczniów Pana, Męczenników czy Pustelników, wskaże mu Pan miejsce w raju?

Myślał, porównywał, przymierzał, aż niespodziewanie stanął przed nim Anioł.

— Pachomiuszu, — rzekł Boży posłaniec. – Nie męcz próżno głowy. W oczach Pana równy jesteś Kulawemu Mikronowi z miasta na skraju pustyni.

Wionął skrzydłami i znikł, zostawiając starca mocno zadziwionym, nigdy bowiem od ludzi licznie przychodzących nie zasłyszał podobnego imienia. A wszakże musiał to być ktoś znaczny, nie byle jaki. Może był przeorem klasztoru o regule tak surowej, że woń świętości nie przedostawała się wskroś murów, znana tylko Bogu, może należał do pobożnych przepisywaczy świętych Ksiąg, trawiących całe życie nad pulpitem? Ciekawość staruszka rosła w miarę tych rozważań aż na koniec, niezdolny jej pohamować, postanowił pójść do miasta by poznać tego, co mu był w zasłudze równy.

Szedł długo, zmęczył się srodze, co gorsza, przyszedłszy nie mógł znaleźć swego rówiennika. Obchodził wszystkie klasztory, pytając braci furtianów o ojca zwanego Kulawym Mikronem. Nie słyszeli nigdy o takim. Obchodził szkoły filozofów i szkoły retorów i szkoły mówców, pytając odźwiernych o profesora przezywanego Kulawym Mikronem. Nie znali. Aż na koniec nagi wyrostek grzebiący w śmietniku, posłyszawszy pytanie zawołał:

— Znam Kulawego Mikrona! Grywa do tańca w gospodzie przybramnej!

Nie do wiary zdało się to Pachomiuszowi, niemniej ruszył ku wskazanej gospodzie. Na dziedzińcu tańczono. Przed bramą stał tłumek gapiów. Obdartus z czerwonym nosem siedząc na schodach przebierał po strunach gęśli. To był właśnie Kulawy Mikron. Pachomiusz poprosił, by go przywołano, a kiedy grajek wysunął się z bramy, pustelnik objął go uściskiem braterskim.

— Racz mi powiedzieć, Mikronie — szepnął — jaką drogą osiągnąłeś twoją wielką świętość i czemu ją tak ukrywasz?

Po czym widząc, że grajek nic nie rozumie i patrzy nań z osłupieniem, opowiedział zdarzenie z Aniołem.

Mikron począł się śmiać, aż łzy mu stanęły w oczach.

— Dobrze z ciebie zadrwiono, staruszku — rzekł uspokoiwszy wesołość. — Ja i świętość! Wiedz, że nie ma większego grzesznika, pijaczyny, próżniaka ode mnie...

– Anioł nie mógł drwić ani się mylić — zapewnił Pachomiusz zmieszany.

— Słuchaj zatem! Byłem zbójem. Zbójem najgorszym w całej krainie. Grabiłem z moją bandą podróżnych na drogach i zabijałem, kiedy się bronili. Na tych dłoniach jest krew ludzi, którzy mi nic złego nie wyrządzili a ja im zabrałem życie... Zwano mnie Makron, czyli wielki, możny i nie było takiego co by się nie bał spotkania z Makronem. ...Aż zdarzyło się, że złamałem nogę. Chorzałem długo i myślałem nad swoim życiem. Wstałem kulawy, ale odmieniony. Przezwałem się Mikron — mały, najlichszy. Pokutowałem ciężko, rozgrzeszenie otrzymałem i kołaczę się teraz po świecie przepraszając Miłosiernego Pana za swoje zbrodnie... Do pracy już się nie nadam, ktoby zresztą potrzebował starego kulawca? Grywam do tańca ludziom. Lubię patrzeć, jak się weselą i wina popić lubię też... Więc widzisz, że...

— Mikron! Gdzieś polazł, próżniaku! — rozległo się z bramy. Grajek pokusztykał szybko z powrotem, a św. Pachomiusz odszedł do swojej pustelni, rozmyślając o dziwnym zdarzeniu i już do śmierci nie przestając o nim myśleć.

Tyle legenda, tylko pozornie naiwna.

* * *

Są formy zła prymitywne, które na dusze o pewnej kulturze duchowej już nie działają. Są pokusy płowiejące w miarę rozwoju człowieka, równie mało ponętne jak zabawki poniechane przed laty w dziecinnym pokoju. Lecz istnieje dyskretna forma pychy, którą dla krótkości nazwijmy „kompleksem Pachomiusza", co towarzyszy człowiekowi aż do końca życia, czepia się progu świętości, przypochlebna, obłudna, karmi fałszywą słodyczą i truje, truje, bo nie zawsze Bóg litościwie ześle Anioła, by omotaną duszę przywrócić na drogę właściwą. Niebezpieczna, gdyż trudna do wyśledzenia, nie przestaje nigdy być aktualną.

Możemy chyba wyznać otwarcie, że nasze życie katolickie pozostawia wiele do życzenia, („Życie" też, ale na razie nie mówimy o nim). Miast płonąć, dymi i trzeszczy. Wspólną troską wszystkich nas, katolików polskich na tej wyspie zebranych, jest znalezienie przyczyn tego stanu rzeczy, owych podziałów i wzajemnej nieufności pomiędzy poszczególnymi grupami, przesadnej lękliwości u jednych, upartego narzucania własnego zdania u drugich, buntowania się przeciw autorytetowi u trzecich i tylu innych niepożądanych objawów, dających zauważać się na każdym kroku.

Niewątpliwie przyczyn jest wiele, pośród nich wszakże „kompleks Pachomiusza" nie należy do najmniejszych. Oto np. jeden z aktywniejszych polskich publicystów katolickich pisze w następujących słowach o celu jaki sobie wyznaczył:

„...oczyszczenie atmosfery moralnej życia polskiego, przywrócenie temu życiu pionu katolickiego, walka o prawdę historyczną i właściwy kierunek polskiej polityki..."

Tak istotnie napisał, nie żartem, lecz poważnie, podpisując się pełnym imieniem i nazwiskiem. Chciałoby się wykrzyknąć: O, Pachomiuszu! — Jakże wspaniale cenisz samego siebie, publicysto, skoro czujesz się na siłach do wykonania równie olbrzymiego zadania! „...oczyszczenie atmosfery moralnej, przywrócenie społeczeństwu pionu katolickiego". I jeszcze do tego historia i jeszcze polityka... Czy nie za dużo? Wszakże to praca dla całego pokolenia, nie na barki jednego człowieka, choćby genialnego.

Jeden człowiek owszem mógłby podobnych przemian dokonać, lecz tylko w wypadku, gdyby był Świętym. Wielkim Świętym. Święci niejednokrotnie odmieniali oblicze swojej współczesności. Lecz Święci nigdy, przenigdy, nie zapowiadali, iż tego lub owego dokonają. A gdy błogosławione zmiany zaszły, nie poczuwali się do żadnej zasługi w tym względzie.

Niżej podpisana należała podczas okupacji niemieckiej do grupki założycieli katolickiej organizacji konspiracyjnej, zwanej Credo. Założyciele i członkowie nie żartowali również. Ślubowali uroczyście przed ołtarzem, tuż przed przyjęciem Najświętszego Sakramentu, **poświęcić wszystkie wysiłki i możliwości całego życia pracy nad katolickim odrodzeniem Polski, przez odrodzenie Polski — odrodzeniu świata"**. Byli uniesieni, porwani, szczęśliwi i dopiero w wiele lat później spostrzegli, że... „Pachomiusz się kłania...". Wszystko w tej sprawie było niewłaściwe, zaczynając od nazwy. Credo. Wierzę. A inni, czyż nie wierzą? Zali wiara tych poprzysiężonych miała być lepszą, głębszą od wiary milionów współbraci? Że intencje ich były najszczersze, dobra wola zupełna (niewątpliwie tak samo jak u wspomnianego poprzednio publicysty), Bóg potraktował pobłażliwie te wyskoki zadawalając się najłagodniejszą lekcją. Tych członków Credo, którzy pozostali przy życiu, odsunął od wszelkiej pracy katolickiej zewnętrznej, zalecając pełnienie najpowszedniejszych obowiązków, dalekich od górnych zamierzeń odrodzenia Polski i przeobrażenia świata.

Czy to, co powyżej, należy nam mieć jako ostrzeżenie przed długofalowym działaniem? Ależ Boże broń! Niech będzie aktywność dynamiczna, niestrudzona, rozległa wedle możności. „Miejsce szerokie i wspaniałe serca" wołał Skarga. Tu chodzi o co innego, o p o k o r ę — bezcenną, a jakże trudną cnotę, co razem z męstwem stoi u narodzin każdej innej cnoty, a bez której wszelka zasługa staje się karykaturą i pożywką dla szatana. Świętą, przedziwną, szlachetną i cichą pokorę.

Gdyby ożywieni najlepszym duchem założyciele Credo nie ulegali sugestii intelektualnej elitarności, ślubowanie ich brzmiałoby: oddaję wszystkie wysiłki i możliwości mego życia na służbę Bogu". Nic więcej. Służba, oto jedyne, co nam przystoi. Zgłaszamy się Bogu na służbę a On nas przydzieli gdzie zechce. Do nas należy służyć, od Niego zależą rezultaty naszej służby. Nie nam wybierać, nie nam dyktować. On wie, czy dane nam będzie widzieć owoce swej pracy, czy też obrócą się one w popiół i miną pozornie bez śladu. On wyznacza posterunki wysoko lub nisko, a jedyny slogan, jakiego wolno nam używać i powoływać się nań, to ten: **Słudzy nieużyteczni jesteśmy...**

Zofia Kossak

JAN BIELATOWICZ

POLSKA LITERATURA EMIGRACYJNA W ROKU 1951

Rok 1951 był dla polskiej literatury emigracyjnej rokiem raczej tłustym. Warunki ekonomiczne stworzyły najskuteczniejszy i raczej sprawiedliwy cenzus poziomu literackiego wydawanych książek; ilość pozycji bibliograficznych nie zasługujących na rejestr historyczno-literacki była w roku ubiegłym znikoma. Jeszcze pewniejszym sitem okazały się nieliczne i szczupłe pisma literackie; niemal każdy zeszyt emigracyjnego tygodnika czy miesięcznika przynosił po kilka utworów nieprzeciętnej wartości.

Literaturę tworzą pisarze i ich dzieła, a nie prądy historyczne i doraźne potrzeby polityczne. Wolno i trzeba mierzyć dokonania jednostek miarami politycznymi, ale ogłaszanie tych miar za obowiązujące kanony jest postulowaniem przeciwnym istocie kultury. „Osoba ludzka — głosi personalizm chrześcijański — jest członkiem czyli częścią społeczeństwa politycznego, ale nie mieści się w nim cała ze wszystkim, co do niej należy. Jest ona członkiem czyli częścią dzięki cechom jednostkowości, której piętno nosi w sobie. Będąc przede wszystkim jednostką w rodzaju ludzkim, człowiek potrzebuje pomocy swoich bliźnich dla dopełnienia swej specyficznej działalności, jest więc dopiero w drugim rzędzie jednostką w państwie, częścią społeczeństwa". „Z racji już nie istoty rzeczy, ale przypadkowych wad, które ustawicznie zachodzą, istnieje ryzyko osłabienia i pogorszenia najwyższych wartości życia osobowego przez życie społeczne, które zatrzymując na swoim poziomie wysiłek osobowy, rozprasza go, zamiast mu pomagać: quoties inter homines fui, minor homo redii." (Jacques Maritain „Du regime temporel et de la liberté" wg. tłumaczenia J. Zabłockiego).

Cały sens twórczości artystycznej, czyli jednostkowej, polega zatem nie na wiernym kopiowaniu uniesień i trosk społecznych, lecz na personalistycznym ich odbieraniu i przetwarzaniu. Ocena wartości literackich z manometrem czy chronometrem „chwili dziejowej" w garści jest trywializowaniem zasad kultury. Postulowanie n.p. „emigracyjności" piśmiennictwa jako jego „ideologii" wyłącza dyskusję estetyczną sprowadzając zagadnienie literatury do problematyki wieców politycznych. „Ideologia emigracyjna" w literaturze niczym się nie różni od „ideologii socjalistycznego realizmu". Pojmowanie literatury jako bezpośredniej i pozaestetycznej służby społeczeństwu musi doprowadzić do uznania za najwybitniejsze dzieła literackie — kodeksów karnych lub ustaw konstytucyjnych. Są to bowiem dzieła piśmiennictwa, idealnie „sprzęgnięte" z „chwilą dziejową", jej wszystkimi patosami, tragizmami, wzlotami i upadkami. Nie tędy wiedzie droga literatury.

Na szczęście literatura polska na emigracji nie pokusiła się o ordery emigracyjnej zasługi, poprzestając na godności po prostu literatury. Można nawet odważyć się na opinię, iż im dalsza od politycznych aktualności tematyka, tym lepsze dzieło literackie. Są oczywiście tematy aktualne wiecznie, a więc i współcześnie. Powstały n.p. polskie dzieła o Rosji sowieckiej, które na zawsze pozostaną świadectwem upadku człowieczeństwa, choć może i śladu już nie będzie po politycznych formach, które do upadku tego doprowadziły.

W roku ubiegłym ukazały się poza Krajem następujące książki polskie względnie autorów polskich o charakterze literackim:

KSIĄŻKI

W zakresie teologii i literatury religijnej: Kard. Augusta Hlonda „Na straży sumienia narodu" (zbiór kazań, przemówień i pism), Włodzimierza Dołęgi „Obecnośc Wniebowzięcia w Polsce", Magdaleny Dubanowiczowej „Matka Boska wśród nas w XIX i XX wieku", Oskara Haleckiego „Eugeniusz Pacelli — papież pokoju" i Marii Winowskiej „Kto mi łzy powróci?".

W dziedzinie filozofii: O. Innocentego Marii Bocheńskiego „L'Ancient Formal Logic" (w języku francuskim) oraz J. Łukasiewicza „Aristotle's Syllogistic" (w języku angielskim).

W zakresie filologii: Księga zbiorowa w stulecie śmierci Juliusza Słowackiego (wyd. Polisn Research Centre w Londynie); Księga zbiorowa „Adam Mickiewicz – A Symposium" (w języku angielskim) w wydaniu Columbia University Press pod redakcją Manfreda Kridla; Ignacego Wieniewskiego „Powrót na Via Appia" (studia i szkice).

W zakresie historii, oprócz zeszytów „Niepodległości" (tom III — o roku 1920) i „Tek historycznych", ukazały się nadto: Tom I „Kampanii wrześniowej" w ramach wydawnictwa Komisji Historycznej Polskiego Sztabu Głównego p.t. „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej" (praca zbiorowa); Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich (praca zbiorowa b. żołnierzy); Alma Mater Vilnensis (praca zbiorowa); „Polska Misja Katolicka w Londynie 1894 — 1944" (praca zbiorowa).

W dziedzinie pamiętnikarstwa politycznego, wojskowego i dyplomacji: Józefa Becka „Dernier Rapport" (w języku francuskim), Tadeusza Bora Komorowskiego „Armia Podziemna" i Zbigniewa Stypułkowskiego „W zawierusze dziejowej".

Książka gen. Bora Komorowskiego posiada wybitne walory literackie, kwalifikujące ją do osobnej grupy dzieł, które można określić jako „świadectwa literackie". W tej kategorii pojawiły się w roku ubiegłym następujące książki polskich autorów: Gustawa Herlinga Grudzińskiego „A World Apart" (w języku angielskim), Józefa Mackiewicza „The Katyń Wood Murders" i Tadeusza Wittlina „Diabeł w raju".

Następujące pozycje powieściowe ukazały się w r. 1951 jako książki: Mariana Czuchnowskiego „Tyfus, teraz słowiki", Jędrzeja Giertycha „W Polsce między wojnami" (3 tomy), Janusza Jasieńczyka „Walter", F. Kmietowicza „Czarownica" (w gwarze), Zofii Kossak „Przymierze", Romana Orwida Bulicza pierwszy tom „Jeśli jutro wojna", Edmunda Różyckiego „Obrachunek włodarzy", Jozefa Ursyna „Torricola" (w języku francuskim), Melchiora Wańkowicza „Ziele na kraterze" i Kazimierza Wierzyńskiego „The Life and Death of Chopin" (vie romancée w języku angielskim).

Najobficiej obrodziły tomiki poezji: Antologia w opracowaniu St. Lama „Najwybitniejsi poeci emigracji współczesnej" (Stanisław Baliński, Jan Lechoń, Józef Łobodowski, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin), Mariana Czuchnowskiego „Pola minowe", Marka Gordona „Zabawki z majoliki", Wacława Iwaniuka „Podróż tropikalna". Anatola Krakowieckiego „Na latającym dywanie", Henryka Mirzwińskiego „Etiudy", Mariana Pankowskiego „Couleur de jeune meleze" (w języku francuskim), Władysława Pelca „Miłościwe Lato", Bronisława Przyłuskiego „Akord", Kazimierza Wierzyńskiego „Korzec maku" oraz St. Balińskiego przekład „Ód" Johna Keatsa.

W dziale dramatu pojawiły się drukiem: Wiktora Budzyńskiego „Villa Esperanza", St. Mackiewicza „Melina" i Bronisława Przyłuskiego „Pastorałka małoszowska". Kilka nowych sztuk dramatycznych grano na scenach teatrów emigracyjnych, lecz nie wydano ich na razie drukiem (Marek Jabłoński, Teodozja Lisiewicz, Napoleon Sądek, Jan Woyciechowski). Kilka sztuk polskich grano w mniejszych teatrach angielskich względnie czytano w radio.

W dziale humoreski powstały dwa dziełka: Ludwika Lawińskiego „Igraszki bolszewickie" i Tadeusza Wittlina „Wyspa zakochanych".

Wznowienia były bardzo nieliczne: Aleksandra Fredry „Świeczka zgasła", Wandy Miłaszewskiej „Księżniczka Dagny" i Fr. Siedleckiego „Śpiewnik kościelny".

Na obce języki przełożono w r. 1951 następujące książki autorów polskich, wydane już poprzednio w języku ojczystym: Tadeusza Bora „The Secret Army", Józefa Czapskiego „The Inhuman Land", Oskara Haleckiego „The Pope of Peace", Zofii Kossak „Angels in the Dust" (skrót „Krzyżowców"), „The Covenant" („Przymierze") i „Du Fond de l'Abime, Seigneur" (francuski przekład „W otchłani"), Zbigniewa Stypułkowskiego „Invitation to Moscow", Marii Winowskiej „Our Lady's Fool" (o O. Kolbe) Tadeusza Wittlina „A Reluctant Traveller" („Diabeł w raju").

Oprócz wymienionych książek pojawiło się trochę druków o treści nieliterackiej, a więc dewocyjnych, dokumentarnych, polonijnych i i. Nie wyszła natomiast w roku ubiegłym żadna książka polska o treści politycznej (nie licząc pamiętników).

Z poloników przypomnieć warto: monografię A. Cortota o Chopinie („In Search of Chopin"), Suzanne i Denise Chainaye książkę „De quoi vivait Chopin", wznowienie F. Liszta „Life of Chopin", Olivera Warnera monografię o Józefie Conradzie, włoską pracę zbiorową o Królowej Jadwidze, pracę etnologiczną Suli Benet „Song, Dance and Customs of Peasant Poland", powieści Daphne Slee „The Great Hunter i Australijki Helen Heney „The Proud Lady", dramat Reith Coote „The Sleep of Prisoners", wspomnienia Paul Supera „25 Years with the Poles" oraz wznowienia „Cambridge History of Poland" (na przełomie 1950/51) i niemieckiego przekładu „Pana Tadeusza".

Po raz pierwszy w ciągu trwania naszej emigracji a zarazem po raz pierwszy w dziejach kultury poważne dzieła polskich pisarzy w przekładzie na obce języki na krótkiej przestrzeni czasu zasiliły tak znacznie piśmiennictwo światowe. Ten dopływ polski przyszedł wcale wysoką falą, o wyraźnej barwie i bystrym nurcie, doskonale dostrzegalnym w oceanie twórczości powszechnej. W ciągu minionego roku Polacy wnieśli na forum światowe 18 tęgich tomów i jako 19 kilkujęzyczną „Księgę w stulecie śmierci Słowackiego". Krytyka na Zachodzie zgodnym głosem wyróżniła wśród najlepszych książek produkcji światowej aż 6 polskich: „Armię Podziemną" Bora, „Papieża pokoju" Haleckiego, „Inny świat" Herlinga, „Przymierze" Zofii Kossak, „Zaproszenie do Moskwy" Stypułkowskiego oraz „Życie i śmierć Chopina" Wierzyńskiego. Przychylne opinie zyskali też „Anieli w pyle" Zofii Kossak i „Zbrodnia w lasku katyńskim" Józefa Mackiewicza. W nauce za kamienie milowe uchodzą obie prace naszych filozofów.

Rok 1951, otwierający drugą połowę wieku XX, był świadkiem wielkiego debiutu piór polskich w świecie. Jest to największa zdobycz piśmiennictwa na emigracji. Pisarze polscy przekuli nareszcie tunel na świat dla polskiej kultury, na skalę przypuszczalnie nawet szerszą, niż za czasów „Wielkiej Emigracji". Odnaleźli właściwą, choć tak trudną drogę swego powołania i prawdziwy sens emigracji. Przekłady dzieł polskich powstających poza Krajem na obce języki, tak szczęśliwie zaczęte, rysują się jako czołowy postulat polskiej polityki kulturalnej na emigracji.

Twórczość polska w obcych przekładach zaznaczyła się głosem mocnym i jasnym. Polacy stali się przed światem głównymi świadkami w sprawie „nieludzkiej ziemi". Świadectwa polskie odznaczają się nie tylko tragizmem przeżyć i ciężarem prawdy, ale też głębią kultury i formą pisarską, które otwierają oczy na krzywdę wyrządzoną narodowi na granicach Europy. Kiedyś, za czasów „Wielkiej Emigracji", Polacy imponowali światu ogładą salonową, dziś wzbudzają szacunek dla swej łacińskiej,

humanistycznej i chrześcijańskiej psychiki.

Potwierdzają tę opinię dzieła beletrystyczne. Pisarze polscy zaznaczyli się nie tylko przez przeciwstawienie się antypodom świata chrześcijańskiego, ale i przez pomnożenie skarbca orbity chrześcijańskiej. Naród, który dziś „bywa na takiej katuszy", ma jednak dość sił, aby głosem polskim obwieścić światu zasługi „Papieża pokoju", aby dotrzeć do źródeł chrześcijańskiej religii i cywilizacji w „Przymierzu", wysłuchać pulsu jej myśli w arystotelesowskiej filozofii, czy przypomnieć ludzkości, skąd wzięły się moce twórcze Chopina. Na tych dwu skrzydłach: geniuszu, kultury chrześcijańskiej i walki przeciw jej zaprzeczeniu rozpięła się polska twórczość literacka przed światem w minionym roku Pańskim.

Nie był to przypuszczalnie rok wyjątkowy, gdyż pisarze polscy mają jeszcze wiele do powiedzenia światu, i to o nim samym, a wiele już przełożonych dzieł polskich autorów czeka na skinienie wydawców. Nie tylko ze względu na koszta, ale raczej z powodu sieci handlowej, bibliotecznej i recenzyjnej jedyną na przyszłość dla polskich przekładów drogą są wydawcy obcy.

Dorobek piśmienniczy emigracji na poważniejszą skalę dopiero po raz pierwszy w roku ubiegłym stał się istotną przeciwwagą dla twórczości zduszonej w Kraju. Z bardzo nielicznymi wyjątkami książki wydane w r. 1951 na obczyźnie nie mogłyby się tam ukazać ze względu na treść, tematykę i ujęcie.

Zbiorowy tom prac historycznych o „Kampanii wrześniowej", księgi zbiorowe prac o Słowackim i Mickiewiczu posiadają znaczenie pomnikowe. Również dzieła naszych filozofów, jak się rzekło, mają w nauce znaczenie słupów milowych.

Obok pracy prof. Haleckiego o „Piusie XII", posiadającej charakter publicystyczny, obok zbioru głębokich pism i kazań ś. p. Kard. A. Hlonda, w dziedzinie piśmiennictwa religijnego i teologicznego przybyły nam dwie cenne książki: Włodzimierza Dołęgi i Marii Winowskiej. „Obecność Wniebowzięcia w Polsce" jest pod względem literackim jednym z najwybitniejszych dzieł polskich, wydanych w ciągu dwunastolecia tułaczki na obczyźnie. Jest to zbiór szkiców z dziejów polskiej kultury religijnej autorstwa wytrawnego znawcy zarówno teologii, jak historii, sztuki i literatury. Bardzo niewielu mamy pisarzy, mogących skojarzyć dostojne piękno stylu z tak głęboką, lecz nie drobnostkową erudycją, jakie są właściwością pióra Włodzimierza Dołęgi. „Obecność Wniebowzięcia" jest polskim głosem w chórze wdzięczności za nowy dogmat. Tonacją swej tęsknoty za utraconą wielkością ojczyzny, książka przypomina „Pana Tadeusza" wszak również poemat maryjny.

Pięknie wydane dziełko Marii Winowskiej o Objawieniu Matki Boskiej w La Salette jest książką o bojaźni Bożej, niezmiernie sugestywną i napisaną z gorącą wiarą, ale średnią literacko, szczególnie w mało potrzebnym rozdziale ostatnim. Książka Magdaleny Dubanowiczowej jest poprawną narracją o Objawieniu w Fatimie.

Piękny pamiętnik Józefa Czapskiego wydany był po polsku jeszcze w roku 1949. Praca o Katyniu Józefa Mackiewicza znana jest w ogólnym zarysie z poprzednich prac autora wydanych w języku polskim.

Dwa nowe i monumentalne świadectwa literackie zawdzięczamy Tadeuszowi Bór Komorowskiemu i Gustawowi Herling Grudzińskiemu. Trudno o lepszą od „Armii Podziemnej" ilustrację sentencji: „styl to człowiek". Jest to książka żołnierza z powołania, przejętego sprawą walki z wrogiem każdym włóknem osobowości. Żaden z dotychczasowych utworów literackich na temat okupacji niemieckiej i powstania warszawskiego nie oddaje ani w części ogromu, ciężaru, męki i natchnienia Polski Walczącej na własnej ziemi, tak jak raport jej dowódcy. Jest to najwspanialszy pamiętnik z drugiej wojny światowej ze wszystkich, jakie się gdziekolwiek pojawiły. Nie jest to bowiem dokument ani dyplomacji, ani przebiegłości, ani taktyki ani osobistych zabiegów, lecz raport bojowy chrześcijańskiego żołnierza. Nie ma w nim ani niedomówień, ani zatajeń, ani przeinaczeń. Jest to książka patrząca prawdzie prosto w oczy.

O „Innym świecie" Gustawa Herling Grudzińskiego była już sposobność napisać na łamach ŻYCIA. Jest to szczegółowe, realistyczne świadectwo napisane mistrzowską ręką artysty, pokaz precyzji instrumentu literackiego w ciemnych otchłaniach ludzkości.

Powieść polska przyszła nareszcie do głosu i poza Krajem, gdzie naodwrót obecnie obumiera. Kilka dobrych pozycji powieściowych, wśród których na uwagę zasługuje piękną poetycką gwarą napisana klechda beskidzka F. Kmietowicza „Czarownica", przerastają dwie, z różnych zresztą gleb poczęte, powieści: ostatnia gawęda polska Melchoria Wańkowicza „Ziele na kraterze" i wielki epos biblijny Zofii Kossak „Przymierze".

Wańkowicz przędzie swą gawędę z własnej krwi, dumy i urodzajnego języka, zaś Zofia Kossak z przeogromnej skarbnicy dziejów. Z gliny zapadłych miast mezopotamskich, ze szlamu po potopie nie tylko odczytuje biegle historię, ale ją umuzycznia i zdobi mozaikami wyobraźni. Jak figury Wita Stwosza są pokryte barwami, tak i postacie biblijne „Przymierza" pociągnięte są pokostem pięknej prozy. Zofia Kossak jest czołową polską beletrystką katolicką. Jej pisarstwo historyczne nie kończy się na obrazach i nastrojach, na wskrzeszaniu dziejów, ale tętni głosem Prawdy. „Przymierze" jest też koroną polskiej twórczości pisarskiej w roku ubiegłym.

Tomiki poetyckie wygodniej będzie omówić łącznie z wierszami rozproszonymi po czasopismach.

Brak poważnej ilości wznowień polskich klasyków na obczyźnie tłumaczy się sporym dopływem książek z tej dziedziny z Kraju oraz awangardowością literatury na emigracji. Zdaje się, że wyszła ona szczęśliwie z opłotków tęsknoty na szerokie gościńce świata.

Jan Bielatowicz

Część druga artykułu, poświęcona na omówieniu polskiej twórczości literackiej, zawartej w emigracyjnych czasopismach literackich, ukaże się w następnym numerze ŻYCIA.

MARIA PIOTROWSKA

„FOUR WINDS OF LOVE"

Czytelnika polskiego a zwłaszcza rodowitych krakowian zaciekawi niewątpliwie fragment z powieści „Four Winds of Love" autora Compton Mackenzie.

„,... Pewnego rana, kiedy na placu targowym w żarze sierpniowego słońca, pod kolorowymi parasolami cisnęli się tłumnie sprzedawcy, wychwalając najprzeróżniejsze odmiany owoców i jarzyn, sznury suszonych grzybów, sery, drób i masło, John oddalił się od tego wesołego widowiska i wszedł w jarzące się mroki kościoła Panny Marii. Właśnie przy bocznym ołtarzu od strony południowej była odprawiana późna Msza święta. Minął grupkę modlących się i usiadł w jednej z rzeźbionych ław renesansowych w górnej nawie kościoła, teraz prawie opustoszałej. John pogrążył się w zadumie. Zewnętrzna fasada kościoła, którego czerwona cegła i poczerniała miedź spadzistego dachu pokryły się patyną pod działaniem słońca, śniegu i wiatrów w ciągu lat siedmiuset, nie dawały wyobrażenia o przepychu kolorów wewnątrz. Brak wielkiego wschodniego okna, jak w większości gotyckich kościołów Francji i Anglii, jeszcze bardziej podkreślał intensywność i powagę półmroku, poprzez który krzyżowały się, z wysokich okien padając, promienie bursztynowe, szmaragdowe i czerwone. Sklepienie nawy było granatowe jak noc i skrzyło się w powodzi gwiazd. Ponad wielkim ołtarzem, niezwykłej piękności tryptyk Wita Stwosza, oddający chyba najwierniej, jak tylko jest to w mocy artysty, Wniebowzięcie, mienił się złotem i lazurem, a śmiałość rzeźby tak mocno uwydatniała rysunek postaci, że wydawało się, jak gdyby aniołowie, unoszący ciało Najświętszej Panny, zawisnęli między ołtarzem a niebem. W porównaniu do swej wysokości nawa wydawała się niezwykle wąska, lecz wrażenie to podkreślało jeszcze bardziej strzelistość wnętrza, którego sama architektura była już jak gdyby ideą Wniebowzięcia.

...Ten kościół w Krakowie tak dziwnie odejmował znaczenia modlącym się, że John zatracił świadomość, że jest tu obecnym. Został wchłonięty przez siedemset lat modlitwy, zagubiony jak ziarno zboża w wielkim spichrzu ludzkich dążności. Była to chwila żarliwego poddania się, która, gdyby czas mierzyć chwilami, równie mogła stanowić wieczność. John wyczuwał, że w tej chwili rodzi się jak gdyby po raz wtóry i z pokorą przyjmował dar życia, wraz z wszelkimi jego konsekwencjami. Każdy kamień w kościele wydawał mu się czującą istotą, która bezgłośnie a jednak niemniej wymownie witała go w bezbrzeżnym zespoleniu. Danym mu było w tym momencie dostrzec istotną rzeczywistość każdego przedmiotu, żywego czy martwego, i do każdego z nich czuł wzbierającą falę niewysłowionego uczucia. Jak długo trwała ta wizja istotnej rzeczywistości, John nie mógłby powiedzieć, lecz kiedy wychodził z kościoła, plac pogrążony był w nieruchomości gorącego letniego popołudnia. Sprzedające kobiety kiwały się sennie pod kolorowymi parasolami, ruch targowy zamarł na chwilę. Nagle ponad miriadami gruchających gołębi dał się słyszeć głos hejnału. Z wyższej wieży kościoła Mariackiego, ze swojego posterunku pod ośmioma małymi, szpiczastymi wieżyczkami, trębacz wygrywał melodię zegarową. Przez pół wieku w trzynastym stuleciu melodia ta rozbrzmiewała w powietrzu, ostrzegając miasto przed zbliżaniem się hord tatarskich. Aż pewnego dnia strzała przeszyła gardło strażnika zanim ukończył odegranie melodii, i od tego czasu, w dzień i w nocy, nie opuściwszy ani jednej godziny, trębacz za trębaczem wygrywa tę samą melodię z czterech okien wierzchołka wieży kościelnej i poprzez wszystkie te lata melodia urywa się na tej samej nucie, którą wygrał strażnik zanim Tatar nie przeszył mu gardła. Na wschód trębacze rzucali wyzwanie Tatarom, na południe — Turkom. Ku zachodowi głosili, że Polska stoi na straży Europy przed Mahometem, a północ ostrzegali przed jej niezłomną postawą wobec Lutra."

* * *

Compton Mackenzie jest jednym z wybitniejszych autorów współczesnych W. Brytanii. Twórczość pisarską rozpoczął w roku 1907-ym, toteż dzisiaj, w wieku lat siedemdziesięciu, może się poszczycić obfitym dorobkiem literackim, na który składać się będą powieści, sztuki teatralne, szkice historyczne, essay'e, pamiętniki. „Four Winds of Love" jest jedną z ostatnich powieści tego autora. Pracował nad nią lat dziewięć; szósty i ostatni tom wyszedł z druku w roku 1944-ym. Głównym bohaterem powieści jest John Ogilvie, pisarz i dramaturg, a akcją książki jest właściwie bieg historii europejskiej między rokiem 1900-ym a 1937-ym. Impresja z Krakowa, podana powyżej, przypada na sam początek powieści, kiedy John Ogilvie ma lat osiemnaście.

Nie ulega wątpliwości, że w postaci głównego bohatera kryje się osoba samego autora. Wydaje się, że Compton Mackenzie napisał „Four Winds of Love" nie tylko powodowany twórczą wyobraźnią ale i wewnętrzną potrzebą publicznego wyrażenia swoich własnych poglądów na sprawy, wydarzenia i nurty naszej epoki. Autor bowiem jest jednym z tych ludzi, którzy mają namiętny stosunek do życia. Jest zaprzeczeniem wszelkiej bierności i obojętności. Każdy najmniejszy przejaw życia wywołuje w nim jakąś reakcję, wobec każdej sprawy zajmuje zdecydowane stanowisko. Z talentem pisarskim Compton Mackenzie łączy głęboką erudycję, żywość umysłu, bystrość obserwacji, wysubilmowaną wrażliwość artystyczną, poczucie humoru oraz wspaniałą odwagę wypowiadania swoich własnych przekonań. Bardzo niedobrze jest mu się narazić, uczynić coś, co w jego pojęciu jest niezgodne z etyką lub rozsądkiem. Wybucha wtedy gwałtownym gniewem, gani, potępia, smaga sarkazmem - często wywołując wielkie zakłopotanie w środowisku, w którym żyje. Dość wspomnieć, że trzeci tom jego pamiętników z 1-ej wojny światowej „Greek Memories" (autor przebywał w Atenach kierując pracami Intelligence Service w basenie Morza Egejskiego) uległ konfiskacie, tak ostra była jego krytyka polityki rządu angielskiego w owych latach w tej części Europy.

Tak się szczęśliwie zdarza, że Compton Mackenzie lubi Polskę. Zna dokładnie historię Polski i wie, że dzieje się nam krzywda. Zdaje sobie dokładnie sprawę dlaczego tak jest, że w okresie przed pierwszą wojną światową Polską rządzą Rosjanie, Niemcy i Austriacy. Coż za ulga, że jest ktoś, wobec kogo nie potrzeba brnąć w skomplikowane tłumaczenia spraw dla nas tak prostych a jakże niezrozumiałych dla przeciętnego mieszkańca Zachodu. Że nie potrzeba przełamywać cudzej obojętności czy niechęci. Compton Mackenzie sam z siebie, całkiem przez nas nie inspirowany, jest gorącym szermierzem sprawy niepodległości Polski. Zresztą niepodległość i suwerenność wszystkich małych narodów leży mu gorąco na sercu. Wypływa to z dwóch charakterystycznych rysów jego psychiki. Przede wszystkim — z poczucia sprawiedliwości. Autor zawsze staje po stronie mniejszego i pokrzywdzonego. Dlatego poza Polską zajmuje się, i to po stokroć więcej, Irlandią. Chyba jedna szósta powieści „Four Winds of Love" jest poświęcona tragicznym próbom nacjonalistów irlandzkich uzyskania suwerenności. Autor zdecydowanie stoi po stronie Irlandczyków i ostro potępia politykę Anglii wobec Irladii.

Poza tym Compton Mackenzie jest indywidualistą. W jednym ze swych listów do przyjaciela, zagorzałego nacjonalisty irlandzkiego, John Ogilvie w roku 1918-ym tak pisze: „Uważam, że jedyną strukturą doskonałego państwa może być społeczeństwo oparte na doskonałych jednostkach. Widzę jednak jasno, że ogólną tendencją obecnej ewolucji jest niszczenie jednostki. A metodą niszczenia jednostki niszczy się małe państwa, które tej jednostce zapewniają możność egzystencji." ...„Bóg jeden wie, kiedy nastąpi pokój, jasnym jest jednak dla mnie już teraz, że kiedy nastąpi, bez względu na to która strona zwycięży..., prawa małych narodów będą tak dalece uznawane jak dalece będzie to leżało w interesie wielkich mocarstw.

Po raz drugi wyjeżdża John Ogilvie do Polski wraz ze swym przyjacielem kompozytorem, Juliuszem w roku 1932-gim, mając już blisko lat 50. Podróż odbywają statkiem handlowym „Bydgoszcz". Przejeżdżając koło Gdańska Juliusz, uniesiony porywem czysto mackenzie'owskim, wykrzykuje: „Ci przeklęci idioci obsiadujący stół w Wersalu! Dlaczego nie oddali Polsce Gdańska? Pozostawienie tu Niemców musi oznaczać ostateczną klęskę!"

W Krakowie John Ogilvie po raz wtóry znajduje się na osłonecznionym rynku a później w mrokach Kościoła Mariackiego i w tym samych prawie słowach co w I-szym tomie autor opisuje kościół, tryptyk Wita Stwosza i historię hejnału, tylko tym razem kończy: „...I do tej pory przez wszystkie lata trębacz za trębaczem wygrywa tę samą melodię.... Ku wschodowi rzuca wyzwanie Tatarom (?), na południe — Turkom, Zachodowi obwieszcza, że Polska stała na straży Europy przed naporem bolszewickim, a północ ostrzega, że tak jak niegdyś była nieugiętą wobec Lutra, tak i teraz nie ugnie się przed nowym atakiem niemieckim na ducha ludzkiego".

Trudno nie opowiedzieć w tym miejscu o autentycznych przygodach autora, kiedy wraz z wycieczką pisarzy szkockich przebywał w Polsce w roku 1932-gim. Z Zakopanego pisarze szkoccy, ubrani w kilty, udali się do Doliny Stawów. gdzie właśnie odbywało się poświęcenie nowego schroniska. Na uroczyste nabożeństwo zjechały się tłumy górali. Jeden z gazdów miał wyjątkowo piękne kierpce, nabijane mosiężnymi gwoździami. Kierpców tych zapragnął Compton Mackenzie. Właśnie takie kierpce cudownie pasowałyby do jego stroju szkockiego! Niestety, kierpce były w rodzinie góralskiej z dziada pradziada i uparty gazda w żaden sposób sprzedać ich nie chciał. Wyjawił jednak imię szewca na zapadłej wiosce podhalańskiej, który takie kierpce jeszcze wyrabiał. Życzeniu Compton Mackenzie stało się zadość. Kierpce zostały zamówione. W ogóle strój góralski bardzo się podobał autorowi. Zachwyt niesłychany powstał wśród tłumu, kiedy po skończonym nabożeństwie ukazał się góral o zdumiewającym wprost podobieństwie do Sabały. Sabała... Sabała... rozległ się szept. Był to jednak nie duch Sabały i nie kto inny jak właśnie Compton Mackenzie przebrany w strój góralski.

Będąc w Krakowie wśród studentów wydziału anglistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego John Ogilvie między innymi tak mówi: „Nie mogę uwierzyć, aby Bóg Wszechmocny przywrócił Polsce suwerenność nie przeznaczając jej odegrania decydującej roli w tym dramacie europejskim, który na naszych oczach się rozgrywa. Wierzę, że Polska posiada mistyczne znaczenie dla losów ludzkości."

Jest jednak jedna rzecz w Polsce, które autor zdecydowanie nie znosi. Jest nią — karp. Goście Polscy musieli zbyt często naszą specjalnością częstować autora, bo z obrzydzeniem odsuwając talerz, John Ogilvie mówi do Juliusza: „Jak Polacy mogą zachować żywotność jedząc karpia, jest poza wszelką możliwością mego zrozumienia"!

Powieść „Four Winds of Love" ma dwa zasadnicze problemy. Jeden — ogólny — to sytuacja Europy, przeżywającej trudny okres wstrząsów politycznych i moralnych, drugim natomiast jest zupełnie osobisty problem autora — jego przejście z Church of England na katolicyzm. Compton Mackenzie zostaje przyjęty na łono Kościoła katolickiego w roku 1914-ym.

Wydaje się, że w Kościele katolickim jego bujna i gorąca natura może mieć większą możliwość ekspansji uczuciowej. „Nie mogę nic na to poradzić, ale wydaje mi się, że większa część naszej dziwnej religii (o anglikaniźmie) opiera się mniej na wierze a bardziej na kodeksie dobrych manier" — mówi autor przez usta Johna. Proces przejścia Johna na katolicyzm dojrzewa w powieści „Four Winds of Love" wolno i spokojnie. Pierwsza myśl zbliżenia się do wiary katolickiej powstała w chwili jego dziwnego przeżycia w kościele Mariackim w Krakowie w roku 1901-ym. Lata całe potem, bo w roku 1918-ym, w korespondencji ze swym przyjacielem, nacjonalistą irlandzkim i katolikiem, John taką otrzyma od niego naukę: „Nie możesz teraz nic tworzyć, bo nie masz żadnej określonej wiary. A bez tego nic nie można. Gdybyś był przynajmniej uczciwym ateistą, miałbyś jakieś oparcie. Ale, na Boga, jak możesz hołdować Wielkiemu Niezdecydowaniu"! Na co John odpisze mu w tych słowach: „Wydaje mi się, że człowiek nie może ani wierzyć, ani kochać bez łask Boga. Wszystko co mogę powiedzieć, to to, że często prosiłem o wiarę, ale do tej pory jeszcze nie została mi udzielona. Przez cały ten czas jednak przeświadczeniem moim jest, że ludzkość byłaby lepszą ludzkością, gdyby związała się moralnie i umysłowo z wiarą katolicką." I znów w kilka lat później w dyskusji z innym przyjacielem, komunistą, John wyraża takie zdanie: „Przyjmuję naukę chrześcijańską jako najpraktyczniejszy wzór osiągnięcia w tym świecie doskonałej ludzkiej zbiorowości i właśnie w katolicyźmie widzę najpraktyczniejszą drogę, na której ten cel może być osiągnięty."

Łaska wiary zostaje Johnowi udzielona.

* * *

Compton Mackenzie z niepokojem śledzi sytuację polityczną przed drugą wojną światową. Konsekwentnie, poprzez sześć tomów powieści „Four Winds of Love" autor wykazuje wybitną antypatię do Niemców. Widzi niebezpieczeństwo wciąż odradzającego się imperializmu niemieckiego, teraz ukrywającego się pod płaszczykiem narodowego - socjalizmu . Dlatego surowo krytykuje krótkowzroczną politykę angielską uległości i „appeasementu".

A jednak, będąc nawet jednym z twórców Nacjonalistycznej Partii Szkockiej, Compton Mackenzie „is deeply in love with England". Tylko prawdziwie kogoś kochając można się zdobyć na tyle krytyki. Zresztą i tak wszystkiemu są winni w gruncie rzeczy politycy, którzy poza Winstonem Churchillem, nie mają ani uznania, ani sympatii autora. Naród angielski natomiast jest „najbardziej cywilizowanym narodem na świecie" i mając w sobie więcej niż jakikolwiek inny naród krwi starożytnych Rzymian wraz z domieszką krwi celtyckiej i iberyjskiej, naród ten „jest rasą panującą na świecie".

Jedynie wobec Rosji Sowieckiej autor nie wykazuje sprecyzowanego stanowiska. Wyczuwa się w nim pewne wahania. Z jednej strony zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa komunizmu rosyjskiego, z drugiej jednak — nie zapominajmy, że spora część powieści jest pisana po roku 1940-ym — trudno nie wierzyć sojusznikowi, ponoszącemu dla wspólnej sprawy duże ofiary.

Jeśli chodzi o ustawienie Polski wobec Rosji, autor wyraża to przez negatywną opinię komunisty Emila, który mówi, że: „Polska jest wieczną groźbą dla Rewolucji Październikowej i stoi na drodze postępu ludzkości, idącego wraz z komunizmem". Na co John odpowiada: „Chyba nie wymagasz ode mnie żebym uważał cię za realistę, kiedy mówisz o postępie ludzkości? Wolę ja już ten twój czerwony romantyzm niż sentymentalną różowość tych, którzy uważają, że Rosja jest niewinnym niedźwiadkiem, napadanym przez niegodziwych Polaków".

Pisząc te słowa Compton Mackenzie nie wiedział, że przyjdzie czas, kiedy Rosja Sowiecka będzie odgrywała rolę niewinnego niedźwiadka, nie umiejącego się bronić przed agresją niegodziwych podżegaczy wojennych Zachodu.

* * *

Od czasu wydania powieści „Four Winds of Love" Compton Mackenzie napisał trzy inne książki. Jedną z nich jest „Eastern Epic", mająca za temat dzieje i wkład armii indyjskiej do drugiej wojny światowej. O żywotności autora niech świadczy fakt, że dla zebrania materiałów do tej książki udał się, mając lat 67, w osiemnasto-miesięczną podróż i droga jego prowadziła przez Irak, Egipt, Północną Afrykę, Burmę, Malaje, Hong-Kong i Nepal. Zapytany, jak może odbyć tak męczącą podróż i jednocześnie pisać, autor odpowiedział: „Nie gram ani w bridge'a, ani w golfa, dwie największe plagi, zabierające czas ludzkości".

Najlepiej jednak zapoznają z sylwetką autora jego własne słowa w notatce biograficznej w międzynarodowym „Who is Who":

„Moje przekonania polityczne najbardziej odpowiadają przekonaniom de Valery i Portugalczyka Salazara. Moimi największymi antypatiami z przeszłości są: królowa Elżbieta i Oliver Cromwell. Moi ulubieni pisarze, to Stendhal i Jane Austen; moim ulubionym dramaturgiem — Arystofanes; ulubionymi historykami — Tacyt i Herodot. Moi ulubieni poeci — to Blake, Keats i Dante. Nienawidzę sportów polegających na zabijaniu. Moją ulubioną grą jest rugby. Nienawidzę golfa. Kocham bilard. Wolę koty od psów i jestem prezesem Klubu Kota Syjamskiego w Wielkiej Brytanii. Moimi ulubionymi kompozytorami są: Beethoven. Mozart i Sibelius. Nienawidzę imperializmu. Wierzę w kredyt społeczny i uważam, że użycie określenia „demokracja" na system polityczny W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych jest jedynie nalepką na greckiej koncepcji, jaka w słowie „demokracja" jest zawarta."

Maria Piotrowska

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Problem szkoły katolickiej. Więcej niż 20 tysięcy katolików diecezji Muenster brało udział w kongresie, który obradował nad prawami rodziców w zakresie wychowania i nauczania młodzieży. Biskup Muensteru, ks. Michał Keller, w przemówieniu, przerywanym często oklaskami, powiedział m.in.: „Jeżeli chcecie wolności, prawdziwej wolności, wolności wiedzy, walczcie zdecydowanie o szkołę katolicką."

Poparcie prasy katolickiej. Pismo diecezji passawskiej, „Passauer Bistumsblatt", osiągnęło w styczniu liczbę 50 tysięcy prenumeratorów. Świadczy to o wielkim zrozumieniu znaczenia prasy katolickiej, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę ciężkie warunki ekonomiczne diecezjan i ich ogólną liczbę 500.623 osób.

Propaganda na rzecz miejsc świętych. O. Antoni Rivas w ciągu rocznej podróży zwiedził Portoriko, Kubę, San Domingo, Kolumbię, Honduras, Nikaraguę, Guatemalę, San Salvador. Celem podróży było zaznajomienie ludności z sytuacją Palestyny. Ostatnio dodano mu do pomocy o. Anioła Garcia Herrego; obecnie obydwaj misjonarze odbywają podróż po Meksyku.

„Krucjata dusz". W Kalifornii rozpoczęto t.zw. „krucjatę dusz", podczas której ma się zapoznać nie-katolików z zasadami religii katolickiej. W akcji bierze udział ponad 250 księży ze znanym amerykańskim kaznodzieją o. Brien na na czele.

Nowy kościół w Monachium. W Monachium jeden z najnowszych kościołów, kościół Serca Jezusowego, zbudowano z materiału, jaki amerykańskie władze okupacyjne darowały z rozbiórki byłej rezydencji Hitlera. Kościół może pomieścić 6 tysięcy wiernych.

Uroczystość polska w Australii. W Melbourne odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru Towarzystwa Miłosierdzia Bożego i Sodalicji Mariańskiej. Na sztandarze z jednej strony wymalowano postać Pana Jezusa Miłosiernego i umieszczono napis „Jezu, ufam Tobie"; z drugiej strony jest obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i napis „Królowo Korony Polskiej, módl się za nami". Sztandar po poświęceniu przez arcybiskupa Mannixa wniesiono procesjonalnie do katedry św. Patryka, wypełnionej przez ponad 2 tysiące Polaków. W rozmowie po uroczystości Ks. Arcybiskup wyraził zadowolenie z licznego udziału Polaków w uroczystości i gorąco chwalił setki tych, którzy przystąpili mimo późnej godziny i gorącego dnia do Stołu Pańskiego.

Czy uczeni wierzą w Boga? Po przeprowadzeniu wywiadów z uczonymi w laboratoriach Stanów Zjednoczonych, Howard Withman stwierdza w artykule umieszczonym w miesięczniku „Collier's", że większość uczonych wierzy w Boga. Im uczony starszy, tym bardziej jest wierzący. Tylko młody uczony może powiedzieć: „Jaki ja jestem cudowny. — popatrz, co ja znalazłem w atomie." Stary uczony powie: „Czy Bóg nie jest cudowny? Popatrz, co On umieścił w atomie." Uczeni wierzący idą śladem Newtona, uważając się za dzieci bawiące się na brzegu morskim, podczas gdy ocean prawdy pozostaje nieodkryty.

Cześć Jezusa Miłosiernego wśród Polaków. Na północnej wyspie Nowej Zelandii w niewielkim mieście Hawera jest bursa chłopców polskich, licząca jeszcze około 40 wychowanków w wieku od 12 — 16 lat; przybyli oni przed 7 laty z Persji na zaproszenie rządu Nowej Zelandii. Koszt utrzymania bursy pokrywa rząd i jest ona pod opieką władz kościelnych i państwowych. Personel jest polski. Atmosfera jest rodzinna i ci, co opuścili już bursę po objęciu pracy, przyjeżdżają na „week-endy" jak do domu rodzinnego.

Chłopcy są członkami Stowarzyszenia Miłosierdzia Bożego i nad łóżkiem każdego z nich wisi obrazek Pana Jezusa, tak jak ukazał się w Płocku siostrze Faustynie Kowalskiej, z napisem: „Jezu, ufam Tobie". (Jak wiadomo, nakładem Ośrodka Wydawniczego Veritas już w drugim wydaniu wyszła praca ks. dra Michała Sopocki „Miłosierdzie Boże — jedyna nadzieja ludzkości", omawiająca objawienia Pana Jezusa siostrze Faustynie Kowalskiej, zmarłej w opinii świętości 5 października 1938 r. w klasztorze w Łagiewnikach pod Krakowem.)

Na 100-letnią rocznicę ogłoszenia dogmatu. W przygotowaniu na pierwsze stulecie ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marii Panny (1854 — 1954) rozpoczęto wydawanie „Biblioteki Niepokalanego Poczęcia". Ukazały się już 2 tomy, a w nich prace: A. Brana Arrese „O Niepokalanym Poczęciu według teologów hiszpańskich wieku XIV" i A. Martinelli „O pierwszej chwili poczęcia Najśw. Marii Panny". Autor drugiej pracy broni opinii teologicznej, że Najśw. Maria Panna miała używanie rozumu do pierwszej chwili swego istnienia razem z wiedzą wlaną.

GLOSSATOR

FAŁSZYWE REWOLUCJE

I.

Nakładem reżymowego Ministerstwa Obrony Narodowej ukazała się w kraju broszura p.t. „Demokracja Ludowa jako forma organizacji politycznej społeczeństwa". Broszura jest przekładem artykułu niejakiego p. Sobolewa, ogłoszonego w Nr 19 z r. 1951 „Bolszewika", ma więc za sobą sankcję oficjalną nie tylko reżymową, lecz również sowiecką.

P. Sobolew oświadcza na wstępie, że demokracja ludowa jest nowym typem organizacji władzy ludowej w krajach Europy środkowej i południowo-wschodniej. Typ ten nie dorównywa wprawdzie ustrojowi sowieckiemu, lecz jest koniecznym stadium przejściowym na drodze do budowy państwa socjalistycznego. W rozwoju historycznym demokracji ludowej należy rozróżnić dwa etapy. Etap pierwszy — to rewolucja agrarna, antyfeudalna i antyimperialistyczna; „w ostatecznym rachunku" — według słów autora — „rewolucję tę należy zaliczyć do typu rewolucji burżuazyjno-demokratycznej". Rewolucji tej dokonała klasa robotnicza w walce z faszyzmem niemieckim, z obszarnikami i wielką burżuazją (autor wymienia jednym tchem wszystkich tych wrogów klasy robotniczej). Teza o rewolucji burżuazyjnej, dokonanej rękoma klasy robotniczej, jakkolwiek oryginalna, nie jest wynalazkiem autora: Lenin, w sporze z mieńszewikami, twierdził również, że rewolucja w Rosji, jako wstęp do rewolucji socjalistycznej, może, w braku rewolucyjnej burżuazji, być dziełem rewolucyjnego proletariatu. Mieńszewicy odpowiadali nie bez słuszności, że teza taka, zawierająca w sobie contradictio in adiecto, nie ma sensu.

Należało by się spodziewać, że w wyniku rewolucji burżuazyjno-demokratycznej powstaną w krajach Europy środkowo-wschodniej demokracje burżuazyjne, czyli w terminologii sowieckiej kapitalistyczne pseudodemokracje typu zachodniego. Tak się jednak nie stało. P. Sobolew określa nowe ustroje jako „coś w rodzaju dyktatury klasy robotniczej i chłopstwa, przy kierowniczej roli klasy robotniczej". Określenie to nie grzeszy jasnością, toteż autor uzupełnia je komentarzem, że główną funkcją tej formy ustroju było „zadanie decydującej klęski burżuazji i odsunięcie jej od władzy".

Ten stan wyraźny i dla nawet autora kłopotliwy nie trwał jednak długo: już w latach 1947 — 1948 rewolucje ludowo-demokratyczne zaczęły się przeradzać w rewolucje socjalistyczne. Demokracje ludowe weszły w drugi etap swego rozwoju, etap dyktatury proletariatu. Etap ten stanowi z kolei pierwszą fazę budowy państwa socjalistycznego. Burżuazja i kułacy nie są jeszcze w tej fazie ostatecznie zgnębieni; istnieją nadal wielopartyjność życia politycznego i wieloukładowość gospodarki narodowej. Wielopartyjność nie jest szkodliwa, pod tym wszakże nieodzownym warunkiem, aby „przewodnią i kierowniczą siłą państwa była awangarda klasy robotniczej – partia komunistyczna". Dopuszczalne jest również w tej fazie istnienie kapitalistycznych form gospodarki narodowej, lecz sektor socjalistyczny musi mieć pozycję dominującą. „Kraje demokracji ludowej" — mówi autor — „przeżywają okres nepu, lecz w innych, bardziej sprzyjających warunkach historycznych". Stwierdzenie to, na tle obecnego stanu gospodarczego Polski, ma swą posępną wymowę i może być zapowiedzią jeszcze gorszej przyszłości.

Celem tych wywodów autora sowieckiego jest przeprowadzenie tezy, że przemiany ustrojowe w państwach Europy środkowo-wschodniej nie były dziełem interwencji zewnętrznej, lecz wynikiem samorzutnej akcji mas, „porwanych do walki antyfaszystowskiej przez klasę robotniczą". Autor nie popełnia jednak błędu niedoceniania roli Związku Sowieckiego w doprowadzeniu tych przemian do skutku: rozwodzi się on szeroko nad tą rolą, ale nadaje jej charakter bezinteresownej i dyskretnej opieki. Rewolucja październikowa zadała śmiertelny cios światowemu kapitalizmowi, a rozwój i umacnianie się systemu socjalistycznego, zrodzonego z tej rewolucji, podważyły podstawy imperializmu; Związek Radziecki udaremnił plany interwencji anglo-amerykańskiej, a przez to uratował kraje Europy środkowej i południowo-wschodniej od imperialistycznego ucisku; udzielił on wreszcie tym krajom ogromnej pomocy materialnej i politycznej. Pogodzenie jednak spontanicznego ruchu mas z działalnością sowieckiego protektora nasuwa autorowi pewne trudności i z zadania tego nie wywiązuje się on zbyt zręcznie; powtarza parokrotnie frazes o „decydującej roli Związku Radzieckiego", a w konkluzji oświadcza: „wszystkie te fakty, wykazujące decydującą rolę Związku Radzieckiego w powstaniu demokracji ludowej, w sposób kategoryczny obalają zarazem oszczerstwo anglo-amerykańskie o „ingerencji obcej". Logika tego zdania powinna zmusić do milczenia najzawziętszych imperialistów i podżegaczy wojennych.

Z dalszych wywodów p. Sobolewa, okazuje się, że recepta demokracji ludowej z jej dwoma etapami rozwoju ma charakter uniwersalny; jest ona ważna nie tylko dla Europy środkowo-wschodniej, lecz również dla każdego państwa, w którym dojdą do władzy komuniści. Autor przytacza dla przykładu wyjątki z programu komunistycznej partii Wielkiej Brytanii. Po odpowiednim napiętnowaniu i zdemaskowaniu laborzystów, jako zdrajców klasy robotniczej, program ten zapowiada wprowadzenie w Zjednoczonym Królestwie demokracji ludowej. „Komuniści brytyjscy oświadczają, że naród brytyjski może przekształcić demokrację kapitalistyczną w prawdziwie ludową demokrację, przeobrażając parlament, który powstał w wyniku historycznej walki Wielkiej Brytanii o demokrację, w instrument demokracji, w instrument woli olbrzymiej większości narodu brytyjskiego". Najprzód więc front ludowy, pseudo-koalicja „pod przewodnictwem partii klasy robotniczej", potem „coś w rodzaju dyktatury klasy robotniczej i chłopstwa", wreszcie — dyktatura proletariatu w swej czystej i nieskażonej formie. Nie ma tu miejsca na żadne złudzenia co do odmienności komunizmu brytyjskiego. „Przejście od kapitalizmu do komunizmu" — mówi Lenin — „musi dać ogromną obfitość i różnorodność form politycznych, lecz istota rzeczy będzie zawsze ta sama: dyktatura proletariatu".

Niespodzianką zapewne dla wielu polityków, z wyjątkiem może niektórych rzeczoznawców w amerykańskim Departamencie Stanu, stanie się oświadczenie autora, że Chiny przebyły zaledwie okres rewolucji agrarnej, burżuazyjno-demokratycznej; chińska demokracja ludowa wkroczyła — według niego — dopiero w pierwszy etap swego rozwoju, nie spełnia ona jeszcze funkcji dyktatury proletariatu, lecz jedynie „coś w tym rodzaju". Wkroczenie jej w okres następny jest sprawą przyszłości. Mao Tse-tung wskazywał — powiada autor — „że dopiero po stworzeniu kwitnącej ekonomiki i kultury narodowej, po stworzeniu niezbędnych warunków, Chiny przystąpią, zgodnie z wolą całego narodu, do rozwiązania zadań budowy socjalizmu". W ten sposób okres między dwiema rewolucjami, który w europejskich demokracjach ludowych trwał 3 do 4 lat, w Chinach miałby trwać czas nieokreślony.

Jeżeli Mao Tse-tungowi śnią się laury stalinowskie, jeżeli mu się marzy rola drugiego Lenina, interpretatora biblii komunistycznej dla świata azjatyckiego, „ojca ludów azjatyckich i obrońcy pokoju", to p. Sobolew przywołuje go do rzeczywistości. Przypomina on chińskiemu przywódcy, że daleko mu jeszcze do prawdziwego socjalizmu i że zbytnia samodzielność przyprawić go może łatwo o katastrofę. „Decydującym bowiem warukiem pomyślnego marszu krajów demokracji ludowej ku socjalizmowi — oświadcza autor — jest przyjaźń ze Związkiem Radzieckim... Zerwanie przyjaźni ze Związkiem Radzieckim oznacza nieuchronną likwidację demokracji ludowej, jak o tym świadczą wydarzenia w Jugosławii".

II.

W tej nieudolnej, prymitywnie skleconej i rojącej się od sprzeczności teorii dwóch rewolucji można się dopatrywać refleksu poglądów Marksa, wyrażanych wprawdzie w sposób niezbyt zdecydowany, lecz podtrzymywanych przez Plechanowa i mieńszewików rosyjskich. Marks twierdził mianowicie, że w państwach, które nie osiągnęły pełni kapitalistycznego rozwoju, faza rewolucji burżuazyjnej musi poprzedzać rewolucję socjalistyczną. Po tezie feudalizmu musi przyjść antyteza kapitalizmu, aby się wreszcie przekształcić w syntezę socjalizmu. Taki porządek rzeczy dyktowała dialektyka rewolucji.

Teoria dwóch faz rewolucji pojmowała jednak fazę pierwszą jako przewrót, prowadzący do objęcia władzy przez burżuazję i przejściowego rozkwitu kapitalizmu; w epoce Marksa system kapitalistyczny był in statu nascendi, a warstwy społeczne, określane przezeń mianem burżuazji, reprezentowały siłę o wielkim dynamizmie politycznym. Dla p. Sobolewa wynikiem rewolucji burżuazyjnej jest likwidacja burżuazji. Teorię dwóch rewolucji obalił zresztą Lenin w listopadzie 1917 r.; po z górą trzydziestu latach zdecydowano wyciągnąć ją z lamusa w dostosowanej do potrzeb propagandy, lecz niedorzecznej formie.

Zgrubsza biorąc, teoria dwóch etapów rozwojowych demokracji ludowej odpowiada w Polsce dwom okresom polityki sowieckiej. Okres pierwszy — to stwarzanie pozorów „własnej drogi do socjalizmu", uznanej po 1948 r. za odchylenie nacjonalistyczne i ochrzczonej mianem gomółkowszczyzny; okres drugi — to uznanie demokracji ludowej za dyktaturę proletariatu w precyzyjnym opracowaniu sowieckim. Ale poglądy p. Sobolewa stanowią pewien istotny zwrot w doktrynalnym uzasadnianiu genezy demokracji ludowej. Czynniki oficjalne w Polsce i państwach satelickich nie ukrywały dotąd bynajmniej faktu, że demokracje ludowe zawdzięczają swe powstanie bagnetom sowieckim. „Związek Radziecki" — mówił Bierut na kongresie jedności robotniczej — „umożliwił powstanie demokracji ludowej, bo bezpośrednia obecność jego armii czerwonej obezwładniła naszego wroga klasowego". Mathias Rakosi, przywódca komunistów węgierskich, oświadczył w 1949 r. że „... państwa Europy wchodniej mogły uniknąć wojny domowej ponieważ armia sowiecka... podważyła ich dawną strukturę polityczną i obezwładniła stare klasy rządzące".

Skądże więc ten nawrót do anachronicznej teorii dwóch rewolucji, dokonanych przez masy robotnicze w przymierzu z chłopstwem? Cel tego tour de force jest dość widoczny. Broszurę wydało Ministerstwo Obrony Narodowej, jest ona przeznaczona dla wojska. Trudno wymagać od żołnierza, aby walczył z entuzjazmem w obronie ustroju, narzuconego siłą, utrzymującego się przy pomocy obcego nacisku. Trzeba weń wmówić, że ustrój ten jest wyrazem woli społeczeństwa, owocem żywiołowej, samorzutnej akcji mas, tworem rodzimym, mającym swe źródło w procesach rozwojowych współczesnego świata. Wówczas może morale wojsk satelickich się podniesie, a ich duch bojowy ulegnie poprawie.

Takie jest pewnie zdanie politruków warszawskich. Broszura jest jednym z fragmentów akcji, mającej na celu urobienie psychiczne wojska. Czy jednak prymitywizm jej założeń, pogarda dla faktów i operowanie fikcjami nie idą zbyt daleko? Trudno osądzić. Największa niedorzeczność, zanurzona w mętną wodę rewolucyjnej frazeologii, powtarzana uporczywie i niezmiennie, znajduje wreszcie wiarę.

Glossator

WIESŁAW ŻYLIŃSKI

KS. FABIAN ABRANTOWICZ

(Wspomnienie osobiste i zarys badań życia)

Pobudka zewnętrzna — rozmowa ze świątłym kapłanem katolickim narodowości białoruskiej, rozmowa zahaczająca o bardzo dawne lata, — wywołała w mojej pamięci p... życia i wrażenia wczesnej młodości, związane ze środowiskiem petersburskim lat 1914 — 19 i z osobą księdza Fabiana Abrantowicza.

Wybuch pierwszej wojny światowej wyrwał mnie z ponurej pamięci gimnazjum rosyjskiego w Kownie, jako dojrzewającego młodzieńca, który wraz z matką i siostrami musiał zastosować się do rosyjskiego nakazu ewakuacji i opuścić ojczystą Litwę.

W Petersburgu wybór matki, osoby głęboko wierzącej, padł na gimnazjum św. Katarzyny. Było to gimnazjum katolickie, założone przy kościele metropolitalnym arcybiskupów mohylowskich, słynące z wysokiego poziomu nauki i ze specjalnie dodatniego ducha w... chowawczego. Cieszyło się ono opinią gimnazjum polskiego, ale pochodziło to stąd, że na większość jego uczniów składali się Polacy, a obok Łotysze, Litwini, Białorusini, a nawet Francuzi i Niemcy. Nie było w nim tylko wychowanków Rosjan. Fakt jego katolickości stawiał tamę przyjmowaniu Rosjan, bowiem w owych czasach katolicyzm, obliczony na oddziaływanie na Rosjan, stawiał swoje pierwsze kroki w stolicy carów rosyjskich.

Było to szczególne gimnazjum. Dyrektorem był podówczas Stefan Cybulski, rozmiłowany uczony i klasyk, a duch Hellady panował w okazałym budynku. Katolickość gimnazjum nadawała mu cechy tego specyficznego i nieodłącznego uniwersalizmu, który wyrasta z Kościoła katolickiego i promieniuje tą swoją powszechnością na świat cały. Zamiłowania hellenistyczne dyr. Cybulskiego znakomicie harmonizowały z uniwersalizmem katolickim. Nie naprożno dojrzewającym wychowankom gimnazjum św. Katarzyny wygłaszał niedzielne odczyty wielki uczony Tadeusz Zieliński, autor licznych dzieł o hellenizmie, judaizmie i chrześcijaństwie.

Wśród grona profesorów, obok Polaków i Rosjan, znakomitych profesorów i docentów Uniwersytetu Petersburskiego, wykładających w naszym gimnazjum, byli liczni księża, albo profesorowie Duchownej Akademii Rzymsko - Katolickiej, słynnej z zasiania w uczonych księży zaboru rosyjskiego, albo profesorowie seminarium duchownego, przeważnie z naukowymi tytułami. Wybitne również siły miało gimnazjum żeńskie św. Katarzyny, istniejące obok przy tymże kościele.

Do grona profesorów należał też młody podówczas doktor filozofii ks. Fabian Abrantowicz.

Od razu zwrócił moją uwagę swoją pociągającą i myślącą twarzą, jak i ogólną sylwetką. Średniego wzrostu, dość szczupły, lecz ze skłonnością do zaokrąglania się twarzy i postaci, w pince-nez w złotej, cienkiej oprawie, robił wrażenie człowieka bardzo skupionego, żyjącego intesywnym życiem intelektualnym. Jego wykłady religii, kazania niedzielne, rekolekcje uczniowskie odznaczały się zawsze gięstszą myślą, oryginalnym ujęciem, niepowszednią swadą, i co najważniejsze, głębokim przekonaniem, świadczącym o jego żarliwej, religijnej naturze i gorącej myśli Bożej. Zarówno te wykłady, jak kazania i przemówienia wyróżniały się intesywnością badawczej myśli i choć miały podkład utrzymanego w ryzach uczucia, odznaczały się spekulatywnym, filozoficznym tonem. Odnosiłem zawsze wrażenie — jako zapalony od młodości humanista — że młody i uczony kapłan dokonał od razu aktu autodeterminizmu (jak to dużo później i z taką mocą myśli filozoficznej i religijnej zdefiniował myśliciel polski ks. prof. Augustyn Jakubisiak), wybierając z wolną wolą i pełną świadomością swej twórczej osobowości drogę swego powołania i przeznaczenia w świetle talentów, danych mu od Boga, a mających być podwojonymi lub udziesięciokrotnionymi. Tym powołaniem była akcja misyjna z wizją przyszłej jedności kościelnej Wschodu i Zachodu pod jednym Namiestnikiem Chrystusowym.

Nie wiedziałem podówczas, że ks. F. Abrantowicz jest Białorusinem. ów uniwersalizm religijny i kulturalny, jakim była objęta cała atmosfera szkoły naszej, pomimo tak różnych narodowości, reprezentowanych wśród jej wychowanków, wytwarzał tak nadzwyczajną harmonię współżycia wśród Polaków, Białorusinów, Litwinów, Łotyszów, Francuzów i innych narodowości uczniów, że nikt z nas nie zastanawiał się nad narodowością kolegów i profesorów, żyjących w atmosferze łączących nas ideałów religijnych i kulturalnych.

Ks. Fabian Abrantowicz reprezentował, jak i inni wybitniejsi księża typ zachodniego (mówiąc najogólniej) człowieka i kapłana. Mówił piękną polszczyzną, nie poruszał nigdy tematów narodowościowych, godnie świadczył o swej przynależności do cywilizacji chrześcijańskiej.

Dyrektor Cybulski, religijny i rozkochany w liturgii i bogatej obrzędowości katolickiej, człowiek łączący te cechy z umiłowaniem greckiego świata, surowo przestrzegał przed wyłącznością obrzędową łacińską, był rozmiłowany w śpiewach gregoriańskich, ornatach greckich (o rzymskich mawiał, że diabeł wyciął boki!), w nabożeństwach w obrządku wschodnim.

Pamiętam, jak parokrotnie odprawiał w naszej auli gimnazjalnej, połączonej z kaplicą, uroczyste nabożeństwa w obrządku greko-katolickim internowany przez Rosjan w Petersburgu Ks. Metropolita Andrzej Szeptycki. W czasie nabożeństw przemawiał piękną polszczyzną z tą wschodnią ascezą w formie i treści kazania, która czyniła głębokie wrażenie na nas młodych.

Nieco obszerniej omawiam atmosferę duchową, kulturalną i religijną tej jedynej i niepowtarzalnej w swej treści instytucji szkolnej, bo sądzę, że z jej ducha i kierunku pada wiele światła na dalsze życie i umiłowania, na dalszy kierunek działalności ks. Fabiana Abrantowicza.

Ale to byłaby tylko jedna strona zagadnienia dla przyszłego biografa ks. Abrantowicza: atmosfera i otoczenie, w którym działał, zostawiał swoją cząstkę własną i brał natchnienie na przyszłość.

Pozostaje jeszcze dziedzina znacznie szersza i bogatsza, łącząca się jeszcze bliżej i głębiej z działalnością, poglądami i powołaniem przyszłego Archimandryty obrządku wschodniego (nazywanego jeszcze bizantyjskim czy wschodnio-słowiańskim) i przyszłego Egzarchy na Mandżurię.

Od rozbiorów Rzeczypospolitej „dwojga" a właściwie „czworga" narodów (Polacy, Litwini, Ukraińcy i Białorusini – ci ostatni zwani historycznie Rusinami) i kolejnych kasat Unii Brzeskiej przez carów, Kościół katolicki w Rosji, zorganizowany w jednej Metropolii Mohylowskiej, sięgającej od Wilna i Rygi po Władywostok, od Morza Bałtyckiego po Mandżurię i Pacyfik, mógł się wyrzec swej od wieków prowadzonej akcji misyjnej i dążności do jedności katolickiej.

Początek wieku XX znaczony był w Rosji powstaniem Egzarchatu Kościoła katolickiego w obrządku wschodnim, a pierwszym Egzarchą został ks. Fiodorow. Miał on licznych pomocników i znakomitych apostołów, wśród których wyróżniał się później ks. Kołpinskij. Czy ten fakt istnienia w Rosji Egzar-

(Dokończenie na str. 4)

ZOFIA ROMANOWICZOWA

PIÓRKO

OPOWIADANIE

— Córeczka świetnie już biega - zauważyła na schodach ze słodko-kwaśnym uśmiechem sąsiadka z niższego piętra.

— Prawda? — entuzjazmuję się łatwo.

Jednak już za chwilę opadają mnie wątpliwości. Cóż to miało znaczyć? Malutka paniusia w turbanie na papilotach nie wygląda na osobę, co chętnie mawia ludziom miłe rzeczy. Czyżby pilne, drobniutkie tup-tup dziecinnych sandałków mogło komukolwiek przeszkadzać? Chociaż... Sama przecież zaciskam zęby, gdy sąsiad z lewej ćwiczy na saksofonie, a sąsiadka z prawej puszcza w ruch świszczący odkurzacz. Ściany mają uszy w naszej kamienicy.

— Cóż za porównanie? — buntuję się w duchu. Takie tup-tup maleńkich nóżek, jakby kurczątko próbowało siły swego dziobka. Bez przekonania kupuję córeczce piapcie na filcowej podeszwie. I od tej pory już nie tup-tup, a szur-szur po domu i po sercu.

— Więc szur-szur od samego rana, kiedy zimowy dzień ociąga się ze wstaniem i za oknem, czasami, ku wielkiej radości, guzdrze się jeszcze blady, niewyspany księżyc. Szur-szur za mamą do kuchni. Co będziemy robiły? Zapalam gaz. — Basia, Basia! doprasza się mała przywileju zdmuchnięcia zapałki. Po tym koniecznie na ręce, aby upilnować moment, kiedy mleko czai się do kipienia. — Ucita! Ucita! — krzyczy podniecona.

Kuchnia jest pełna sensacji dla dwuletniej bezmała osoby. Mama obiera jarzyny. Przepowiadamy sobie ich imiona, podczas gdy nóż — srogie tabu — zdejmuje z nich sukieneczki. — Bo bludne — tłumaczy sobie mała.

Drugie tabu to skrzynka na śmieci. Nóżki szur-szur same niosą w stronę zakazanego kąta. Tyle papierków, tyle pustych pudełek ... skarbów.

- Ni, ni, — kręci głową. Walka wewnętrzna kończy się zwycięstwem.

W nagrodę idziemy razem sprzątać pokój.

Cóż za uciecha imitować gesty dorosłych, wycierać własną ściereczką wyimaginowane kurze, mocować się ze szczotką na długachnym kiju, przesuwać krzesła. Meble mają przyjazne, poczciwe oblicza, wysiedziana kanapa, po wielu miesiącach upakarzającej, bezskutecznej wspinaczki zostaje zdobyta raz na zawsze. Świat jest łatwy, zrozumiały, bezpieczny, mała osóbka porusza się w nim zaaferowana, w poczuciu własnej użyteczności, szczęśliwa. Wreszcie mama rozkłada pudło z zabawkami i mówi: Baw się córeczko.

Córeczka umie się bawić, chwała Bogu. Siada na podusi, na ukochanym, różowym jasieczku bez którego ani rusz. Grzebie w swoich skarbach, pogadując z cicha. Słowa, świeżo nabyte, to także zabawki.

Spoglądam przez szparę w drzwiach: wszystko w porządku. Z różowego jasieczka wylazło białe piórko, takie miłe w dotyku. Mała gładzi się nim po buzi z lubością. po tym tę samą pieszczotę administruje sprawiedliwie wszystkim swoim zwierzakom. Można wyjść na miasto.

Zima jest paskudna, mokra. Gęsta mgła skrapla się w zimny kapuśniaczek. Na targu liście sałaty kisną w błocie. Jakie szczęście, że córeczka nie buntuje się, by zostać sama w domu, gdzie ciepło i sucho.

— Mama — słychać cieniutko za drzwiami, gdy tylko zabrzęczą klucze.

I szur-szur uradowane kroczki biegną mi naprzeciw.

Ale są dni, gdy wszystko odbywa się inaczej. Zastaję córeczkę zapłakaną, spoconą. Miętosi różową podusię i powtarza:

— Boiś, boiś...

Boi się? Serce mi się ściska. Wiem, co znaczy to słowo. Ale cóż mogło przestraszyć malutką? Lustruję pokój. Wszystko jak było.

— Boiś — ucieka przed piórkiem, którym przeciąg wiewa po podłodze. — Boiś - tuli się do mnie bezradne, drobne ciałko.

Na szczęście w torbie, prócz prowiantów, jest także paczuszka zakutana w papierki. Popatrz Basieńko. Celuloidowa lala najmniejszego kalibru wyciąga ręce. Prędko, bawmy się, prędko, cieszmy się nowym prezentem, prędko, dajmy nurka z powrotem w codzienność, w zwyczajność, w doczesność. Chodźmy do kuchni. Lala z pewnością napije się tranu.

Niebieskie oczy wysychają momentalnie. Dopełniamy uroczyście ceremoniału ze skórką chleba i wierszykiem o krasnoludku, co to:

Od samego rana,
Proszę pana,
Pije

— Tlan! — wykrzykuje Basia z tryumfem. I nazajutrz jest dzielna po dawnemu.

Ale to wraca. I wiem, że któregoś dnia drzwi za mną stukną jakoś inaczej niż zwykle. Nie można temu przeszkodzić. A po tym nastąpi cisza.

Z nad krążków nizanych na patyk maleńka podniesie oczy. Rozejrzy się. Jest sama.

Sama wśród świata rzeczy. Gdzieś się podziała duża, dobrotliwa istota, której podobieństwo tak zabezpiecza, której pośrednictwo tak łagodzi wielką tajemnicę życia. Nie ma ramion, w które się można schronić, nie ma słów, co wszystko tłumaczą. Drobne ciałko drży, jakby było nagie.

W takie chwile Basieńka jest człowiekiem.

Dom wtedy zaczyna wibrować i szumieć jak wielka muszla, kiedy ją przyłożyć do ucha. Jakieś trzaski układają się w szyfrowany rytm, nie możliwy do odgadnięcia. Grzmią jakieś głosy groźnych olbrzymów. To miasto wygraża pod oknem. A ze szpar w podłodze, tuż obok, jakieś szepty wyłażą gromadnie jak natrętne robaczki.

I jeszcze w pewnej chwili frendzle firanki zaczną falować same z siebie jakby ktoś przebierał po nich palcami. O szyby chluśnie ulewa. Kanapa stęka, stare sprężyny odginają się w niej z hałasem. Bąk, leżący w pozornym bezżyciu, przewraca się na drugi bok i gniewnie kołysze.

Basieńka drży. Jest sama.

Tak samo osamotnieli nagle pierwsi rodzice, nadzy i bezdomni, kiedy się za nimi zamknęły wrota raju. Obcy świat w nieodgadłych prawach odpychał ich, groził im, szydził z ich odmienności. Wstyd i żal miały smak piołunu. Ale wtedy poczuli nowe szpony w sercach. To była trwoga.

Całe szczęście, że Basieńka ma wiernego przyjaciela. Różową podusię. Jej gładkie, chłodne dotknięcie leży gdzieś na samym spodzie zarejestrowanych wrażeń. Ledwo palce nauczyły się chwytać, już była ich zdobyczą. Obracając ją, szarpiąc, miętosząc, uczyły się swoich możliwości. Toteż w niej jest ratunek jedyny. Przytuliwszy do niej policzek, można schronić się w najpierwsze czasy, kiedy świat był jednostajnym, brzęczącym chaosem, a małe ja, roztopione w nim bez reszty, nie znało bolesnych granic swojego istnienia. Jednak napięcie nerwów wzrosło już tak bardzo, że wystarczy byle drobiazg, aby przepełnić miarę. Na przykład ot — małe piórko, którym tak przyjemnie było wodzić po policzku, póki poza drzwiami czuło się obecność mamy. Przyssało się do spoconych dłoni, wplotło pomiędzy paluszki. Basieńka potrząsa rączkami, ociera je o sukienkę, ale piórko trzyma się i nie wiadomo, co to za zdrada, co to znaczy, czym to grozić może? Płacz i krzyk były tuż, żeby przerwać tamę. Basieńka biegnie do drzwi i jest cała wylękłym, szlochającym czekaniem.

Szur-szur, towarzyszą mi ciapcie filcowe po domu, co pojaśniał znowu. Nakręcamy bąka. Nowa lala nie widziała jeszcze, jak on ślicznie tańczy. Duże krople przyssały się do szyb. To deszcz.

— To desz — powtarza, jak echo i od tych kilku magicznych zgłosek wszystko staje się zrozumiałe. Jutro słońce porozpędza chmury i już razem pójdziemy na miasto.

A piórko? Mama je podnosi z podłogi. Boiś? Dlaczego? Takie miłe...

Moja mała córeczka się śmieje i to wszystko, czego trzeba do szczęścia. Jest zajęta, coś przenosi, coś układa, sama umie, nie trzeba jej uczyć. Jak skutecznym lekarstwem na trwogę jest krzątanie się, drobne sprawy, pilne i codzienne. Nie ma czasu, by wychylać się za barierę, poza którą, gdzieś w dole, nieustannie, rwie się i szumi czarny potok rzeczy ostatecznych.

A wieczorem klękamy przed łóżeczkiem, co gościnnie ścieli się do spania i powtarzamy, już zrównane, te słowa:

- Boziu, opitujsi — opiekuj się Boże.

Abyśmy zawsze czuli, że jesteś za drzwiami.

Zofia Romanowiczowa

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 24 lutego 1952.

TEATR

DWIE SZTUKI EMIGRACYJNE

Nie spieszyłem się z recenzowaniem „Markietanek" Napoleona Sądka. Wiedząc od razu co będę musiał napisać, wolałem nie dożynać aktorów i nie zniechęcać ich do reszty do grania tej nad wyraz słabej sztuki i jeszcze tym razem uniknąć zarzutu szkodzenia teatrowi emigracyjnemu, który przez niektórych ideologów na wygnaniu traktowany jest jako tabu lub wręcz jak jakiś kościół dziwnego nabożeństwa. Ale teraz, gdy utwór zeszedł ze sceny, czas najwyższy powiedzieć prawdę.

Na „Markietanki" można by spojrzeć pobłażliwie tylko wtedy, gdy powiemy sobie jasno, że jest to sztuka dla teatru świetlicowego. Ale nawet wtedy przyznając jej poziom średni w tym właśnie zakresie, trzeba by się zastanowić, czy z punktu widzenia ideowego i wychowawczego warto tę naiwniutką komedyjkę pokazywać w świetlicach. Moim zdaniem celem teatru amatorskiego jest powolne podnoszenie gustu scenicznego i budzenie tęsknoty do prawdziwej sztuki. Osiąga się to najlepiej przez wystawianie w świetlicach łatwiejszych sztuk repertuaru klasycznego, w ich zaś braku, lub po ich wykorzystaniu — dobrych (i tylko dobrych) przeróbek nowel i utworów powieściowych. Tak jak literatura dla dzieci nie powinna być parodią lub namiastką prawdziwej literatury — tak też i teatr świetlicowy musi być swoistym rodzajem autentycznej działalności dramatopisarskiej.

„Markietanki" nie są żadną literaturą i nie budzą żadnych tęsknot, prócz jednej: aby jak najszybciej zapadła kurtyna. Wątły zbiorek obrazków z życia sześciu nieciekawych, przeraźliwie banalnych żołnierzy II Korpusu we Włoszech nia tylko nie otwiera widzowi żadnych horyzontów, ale przeciwnie, potwierdza myślących sztancami hurrapatriotycznymi odbiorców w ich płytkich odczuciach, sentymencikach i — pożal się, Boże — poglądach.

W okolicznościowych recenzjach „Markietanek" spotkałem się z opinią, że sztuka jest „bezpretensjonalna", „pełna wdzięku, ciepła i serca". Ceterum censeo. Niestety. p. Sądek, który potrafił napisać całkiem jadalną i zabawną „Kwaterę nad Adriatykiem", tym razem poczęstował nas fusami po kawie. Z tych fusów niektórzy wróżą dalsze ogniwa zamierzonej jakoby (Boże uchowaj!) „trylogii scenicznej" p. Napoleona o polskiej „włoszczyźnie wojennej". Nie wątpię, że autor „Kwatery" może napisać i na pewno napisze jeszcze niejedną dobrą i zabawną sztukę. Aby to jednak uczynić, powinien sobie uprzytomnić, że jeden jedyny dowcip (o strzelcu, który był za inteligentny, aby awansować) nie upoważnia do trzymania widzów przez dwie godziny w zamkniętym (i zwykle dusznym) pomieszczeniu. Jedyną receptą na zabawność sytuacji scenicznej nie może być stałe wkraczanie osób niepowołanych w momencie pocałunku.

Krótko mówiąc, mam żal do zdolnego i miłego autora, że pracę swą wykonał tym razem na kolanie i nie wyzyskał nawet w znikomym procencie swych twórczych możliwości.

Cóż pisać o aktorach uraczonych tak lichym tekstem? Starali się, niewątpliwie — w miarę sił i możności. Ostatecznie w obsadzie było tylko dwóch ludzi z pełnym przygotowaniem aktorskim. Pierwszy z nich, p. Wiesław Mirecki, nie tylko poprawnie zagrał rolę kapitana, ale sam jeden usiłował nadawać tempo rozłażącej się komedyjce. Pani Janina Sempolińska—najwidoczniej przybita tekstem—grała siebie jak mogła, bez tempa, ponuro, jak gdyby z determinacją. Dwie młode adeptki Melpomeny—pp. Anna Korczak i Maria Ossowska—w założeniu tekstowym pomyślane jako zabawne kontrasty, nie były wcale zabawne, a kontrastowe tylko z uwagi na różne aparycje. Rażącym błędem skryptu, podkreślonym przez nieudolność p. Ossowskiej, był ckliwy monolog pod oknem o „żołnierzykach" odjeżdżających na pierwszą linię frontu. W szaleństwie miłego memu sercu p. E. Chudzyńskiego odkryłem rys swoistego, perwersyjnego humoru. Grając kaprala z cenzusem, śmiał się najwyraźniej z tekstu, z siebie i z męczenników — współaktorów. Gorzej z p. Romanem Ratschką. Udział swój potraktował bardzo, bardzo poważnie, więc też poważnie wysunę przeciw niemu zarzuty: nadmiar gierek (podobnych we wszystkich jego rolach), nadmiar grymasów i bardzo zła dykcja. Jeśli warunkiem utrzymania się na I roku PIST-u było wyzbycie się prowincjonalnych akcentów i opanowanie czystej polszczyzny — to znaczy, że stać na to każdego przeciętnego człowieka z przeciętnymi zdolnościami aktorskimi.

Trudno mi pisać o reżyserii p. Leopolda Kielanowskiego, bo — jak zaznaczyłem — sztuczka była grana rozwlekle i nużąco. Widocznie w objazdach rozlazła się zupełnie. Jedną mam do p. Kielanowskiego bardzo drobną pretensję: że w ogóle wystawił tę komedyjkę.

Dekoracje p. Jana Smosarskiego, które widziałem na dużej scenie na Ealingu, były nieskoordynowanym zbiorem starzyzny i nie tylko nie wyrażały żadnej koncepcji plastycznej, ale wprost robiły wrażenie odpychające. Czy, mimo trudności finansowych, dekorator nie mógł przyłożyć więcej starania i nadrobić inwencją to, czego nie można kupić za pieniądze?

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga merytoryczna. Słyszałem wiele razy opinię — w charakterze komplementu pod adresem autora „Markietanek" —, że jego postacie są „wzięte prosto z życia". Tym gorzej dla życia! Jeśli nic innego nie było we Włoszech (w co nie wierzę!), to lepiej byłoby zapomnieć czym prędzej o tych płytkich banalnych postaciach i zdarzeniach i szukać innej prawdy i innego, humoru, choćby — jeśli p. Sądek inaczej nie potrafi — wśród ludzi w mundurach.

*

Zanim obejrzałem „Okoliczności łagodzące" p. Jana Woyciechowskiego, skarżono mi się w kołach teatralnych, że sztuka ta nie miała zbyt wielkiego powodzenia w objeździe. Teraz, po premierze londyńskiej, widzę jasno, że nie mogło być inaczej. Ten pseudodreszczowiec sceniczny nie jest lekki — lecz płytki, nie jest łatwy — lecz mętny. Ponadto tytuł, snobistycznie prawniczy, nie odpowiada treści, a treść tchnie obcym katolickiemu myśleniu relatywizmem etycznym.

Bo, proszę, oto, co się tam dzieje. Emigrant polski w Londynie, były kacetowiec Paweł Tarnowski wraca do domu z fabryki i oświadcza swemu współlokatorowi Leonowi, że przed chwilą zabił znanego z okrucieństwa gestapowca, którego przypadkiem spotkał na ulicy. Leonek, który utrzymuje się z fałszowania sztychów i właśnie jest pochłonięty tym procederem, przyjmuje wiadomość o morderstwie tak, jakby mu Paweł powiedział: „kupiłem kilo kawy". Dopiero po dłuższych, pełnych emfazy wyjaśnieniach Pawła, zaczyna się zajmować stroną praktyczną zagadnienia i wraz ze swą siostrzyczką Janką obmyślają fałszywe alibi dla kacetowca, namawiając go, aby zaniechał swego oskarżenia się na policji. Pod koniec pierwszego aktu zjawia się detektyw brytyjski John Herfield, aby wezwać na przesłuchanie przyjaciółkę Pawła, Angielkę Mary, podejrzaną o przywłaszczenie klejnotu z firmy jubilerskiej, w której pracuje. W drugim akcie Mary (mówiąca z angielska po polsku) opowiada Jance, że nie przywłaszczyła sobie bransoletki, lecz wzięła ją za zgodą właściciela tytułem obiecanego jej prezentu-wynagrodzenia za wieczór spędzony z nim w teatrze i na kolacji (i tylko w teatrze i na nudnej kolacji). Okazuje się, że jubiler przyznał się policji, że istotnie obiecał dziewczynie prezent a discretion i wobec tego sprawę umorzono. W akcie trzecim Paweł Tarnowski trwa nadal w zamiarze oddania się w ręce sprawiedliwości, ale Janka przekonywa go, że chce to uczynić tylko przez próżność, aby uchodzić w oczach ludzi za bohatera. Wobec takiego argumentu Paweł ustępuje, co zacny Leonek i „moralizatorka" Janina (była łączniczka Pawła), a potem i Mary — uznają za wielki sukces. Pod koniec zjawia się Mary (która gdzieś za kulisami i w niezbyt jasnych okolicznościach zerwała w międzyczasie z Pawłem), a ponieważ szlachetny detektyw Jan Zajączkowski (tak się nazywał p. John Herfield zanim przyjął obywatelstwo brytyjskie i poszedł w łapsy) wyjaśnił „na siur", że jest to porządna dziewczyna — towarzystwo przyjmuje ją z otwartymi rękami i z resztą niedopitej „czystej wyborowej". Śpiewkami lwowskimi (bo jakże inaczej?) kończy się kłótnia anglo-polska i... everybody's happy.

Jeśli dodamy, że w akcie drugim przezacny Leonek, wspomagany przez siostrę, opowiada swą dawną lwowską przygodę (zupełnie nie związaną z akcją, czy raczej fabułą sztuki) — szkielet dziwoląga nazwanego „Okolicznościami łagodzącymi" będzie uwypuklony w całej swej krasie. Jak widać, nie jest to ani „dreszczowiec" (bo wszystko, co ważniejsze i dreszczowe dzieje się poza sceną), ani farsa (bo nie ma farsowych sytuacji). Na siłę można by to „dzieło" nazwać sztuką psychologiczną z happy endem. Strona myślowo-etyczna — quod erat demonstratum — nad wyraz uboga. Gorzej, bo nie wiadomo o co właściwie autorowi chodziło: jeśli o zabawienie widza — to za mało dał humoru. Jeżeli o pokazanie jakiejś prawdy — to jakiej mianowicie? Czy może tej, którą objawia Leonek, twierdząc, że wszyscy po trosze są przestępcami, ale nie zasługują na naganę? Trudno dociec jakie były zamiary p. Woyciechowskiego — pewnym jest tylko, że w sztuce ich nie przeprowadził i nie mógł skutecznie przeprowadzić, skoro zdaje się nawet nie rozróżniać problemu winy od pojęcia „okoliczności łagodzących".

„Bywszy" przypadkowo adwokatem, pozwolę sobie przypomnieć zainteresowanym, że o okolicznościach łagodzących można mówić dopiero wtedy, gdy przypisuje się komuś winę. Tymczasem tu — zdaniem przyjaciół „bohatera" Pawła — nie ma żadnej winy, bo samo sąd nad gestapowcem traktują oni jako czyn całkiem słuszny, choć nieco niebezpieczny; sprawka sprytnej Mary nie jest przestępstwem, tylko typowym naciągnięciem głupawego, lubieżnego starucha; znów więc nie ma tu winy, nie potrzeba więc i okoliczności łagodzących. Skoro już autor chciał koniecznie pisać o tych sprawach i to właśnie w taki sposób, to powinien był zajrzeć do kodeksu karnego i wymyślić jakiś inny tytuł.

Jeśli dodam, że mimo wyreżyserowania sztuki przez fachową polonistkę pozostało w tekście sporo błędów językowych w rodzaju zdania „którą ty nie chcesz uznać" — to charakterystyka sztuki p. J. Woyciechowskiego będzie dostatecznie kompletna, aby zapytać, rzecz jasna (retorycznie) jakie jej cechy natchnęły ZASP do nagrodzenia jej czy też wyróżnienia na zeszłorocznym konkursie? Wprawdzie autor wykazał niejaką umiejętność prowadzenia dialogów i na marginesie wyżej opisanego schematu „problematycznego" zdołał zarysować niektóre różnice między charakterem narodowym polskim a angielskim, ale te— by tak rzec — uboczne zalety sztuki nie wydają mi się dostateczną podstawą do jej uwieńczenia przez zawodową organizację aktorów.

Teatr Aktora wystawił sztukę starannie. Reżyseria p. Reginy Kowalewskiej nie budzi poważniejszych wątpliwości. (Do mniejszych niedociągnięć zaliczam ustawienie w akcie drugim bocznej lampy w ten sposób, że zasłaniała przynajmniej 1/8 części widzów twarze aktorek siadających przy stole). Główną rolę Pawła Tarnowskiego zagrał p. Bohdan Urbanowicz więcej niż poprawnie. Jedyna głębsza scena — niema reakcja na kazanie Janki o próżności — wypadła b. dobrze. Pani Wera Lechówna, choć jeszcze nie osiągnęła zupełnej swobody w poruszaniu się po scenie, czyni znaczne postępy. Tekstowo nie zawsze przekonywującą rolę Angielki zagrała chyba najlepiej ze wszystkich swych dotychczasowych ról, zwłaszcza, że jej akcent był tu usprawiedliwiony obcojęzycznością postaci. W akcie trzecim p. Lechówna wyciągnęła maksimum efektu w trudnej scenie z tekstem Tuwima śpiewanym przez łzy. Pan Artur Butscher był typowym, uczuciowym malarzem ze Lwowa, natomiast niezbyt dowcipna i przydługa mowa prokuratorska, która przypadła w udziale p. Jadwidze Butscherowej, przerasta stanowczo jej możliwości głosowe. Debiut p. Stefana Rivière w roli detektywa wypadł nieźle, lecz nie daje jeszcze podstaw do snucia przypuszczeń co do dalszego wykorzystania tego młodego adepta sztuki teatralnej. W każdym razie w dość nieprawdopodobną tekstowo postać zdołał p. Rivière tchnąć sporo dyskretnego ciepła i przez to przynajmniej zmniejszyć wątpliwości widza, czy mógłby istnieć angielski agent policyjny o podwójnej — anglo-polskiej — lojalności. Dekoracje p. Jana Smosarskiego znacznie lepsze niż w „Markietankach".

Nie mogę mieć pretensji do Wojteckiego, że potraktował poważnie sztukę nagrodzoną przez ZASP. Jestem zresztą pewien, że już dawno spostrzegł popełniony błąd. Doszły mnie słuchy, że nosi się ze znacznie ambitniejszymi i bardzo ciekawymi zamiarami repertuarowymi. Oby zrealizował je jak najprędzej.

(sp)

KS. FABIAN ABRANTOWICZ

(Dokończenie ze str. 3)

chatu katolickiego w obrządku wschodnim nie oddziaływał na wrażliwą wyobraźnię ks. Fabiana Abrantowicza? Czy temu kapłanowi, wychowanemu w uniwersalizmie katolickim i w przepychu bogatej obrzędowości od łacińskiej poprzez grecką do wschodniej, nie otwierały się nowe horyzonty i nowe formy jego powołania? Czy w jego duszy białoruskiej nie budziły atawistycznych odczuwań Kościoła unickiego w dawnym Wielkim Księstwie Litewskim, gdzie Abrantowicze mogliby być w równej mierze katolikami-łacinnikami, jak i katolikami-unitami, zjednanymi z prawosławia? Czy ks. Fabianowi owa akcja misyjna Kościoła katolickiego w obrządku wschodnim nie nasuwała myśli, że naród białoruski w wyniku tragicznych dziejów i niewoli rosyjskiej jest w większości swej prawosławny, a w mniejszości katolicki? Czy nie sądził może, że czeka go wdzięczna misja apostolska wobec własnego narodu? Czy wreszcie temu powołanemu naprawdę kapłanowi i wykształconemu na uniwersalizmie katolickim, człowiekowi głębszej myśli i skupienia filozoficznego, nie przemawiały do wyobraźni encykliki misyjne ostatnich papieży i powstanie na mocnych podstawach ośrodków katolickich w Afryce Azji i innych krajach misyjnych?

Można by mnożyć wiele takich pytań i dawać na nie mniej więcej twierdzące odpowiedzi. Ta właśnie druga i szersza dziedzina zagadnienia dla przyszłego biografa ks. Abrantowicza daje wdzięczne pole do prześledzenia jego myśli i życia z dokumentami na warsztacie badawczym. W tej dziedzinie mieścić się będzie i działalność Komisji „Pro Russia" i całe ustawodawstwo kościelne Papieża Piusa XI w sprawach wschodnich i rola Litwy i Rusi, jako pomostu do jedności kościelnej Wschodu z Zachodem.

Te wszystkie badania w oparciu o atmosferę oraz oddziaływanie środowiska i otoczenia, w oparciu o poglądy, działalność i powołanie ks. Fabiana Abrantowicza, prowadzić będą do wywołania z zaświatów tak pięknej postaci o twórczej osobowości, jakim był mój uczony katecheta z lat mojej młodości.

Przyszły badacz nie będzie mógł też pominąć zewnętrznej drogi życia ks. Abrantowicza: jest w niej jakaś konsekwencja, jakaś logika wewnętrzna i powołanie nieodparte, prowadzące tego kapłana obu obrządków do pozornie tragicznego finału, a w gruncie rzeczy do wzniosłego celu — śmierci męczeńskiej w drodze powrotnej na odpowiedzialny posterunek.

W latach swej kapłańskiej młodości przebywał w atmosferze uniwersalizmu katolickiego, kierowanego przez Metropolitę-katorżnika Kluczewskiego, Metropolitę-więźnia rosyjskiego Roppa, Arcybiskupa-skazańca i wygnańca Ciepiaka. Późniejszy rektor seminarium duchownego w ojczystym Mińsku i pod rządami biskupimi Ks. Łozińskiego, biskupa otoczonego już za życia aureolą świętości i tak zasłużonego dla jedności Kościoła przez głośne konferencje pińskie i popieranie obrządku wschodniego w Kościele. Następnie — profesor seminarium wyższego w Pińsku, odkąd Mińsk znalazł się poza granicą traktatu Ryskiego i pod dyktaturą ateistycznego molocha, — w tym Pińsku, którego katedra biskupia przyjmowała uroczyście szczątki św. Andrzeja Boboli. Wreszcie Archimandryta obrządku wschodniego, ojciec marianin i Egzarcha obrządku wschodniego z ramienia Stolicy Apostolskiej na Mandżurię. Taka była droga życiowa X. Fabiana Abrantowicza, przerwana śmiercią męczeńską w kazamatach więzienia lwowskiego pod najazdem sowieckim roku 1939—40. Ten okres jest już epopeją, którą znam tylko ze słyszenia.

Przyszły badacz prześledzi, punkt po punkcie, tę drogę i wyjaśni pobudki działania ks. Abrantowicza. Da nam tło psychologiczne i rejestr faktów i wypadków, które wyniosły wykształconego katechetę z gimnazjum św. Katarzyny w Petersburgu poprzez rektorat seminarium w Mińsku, profesurę w seminarium pińskim, zakon marianów i stopień zakonny Archimandryty na stanowisko działacza watykańskiego, delegowanego przez Papieża z wielkimi pełnomocnictwami i obszerną władzą kościelną do nawracania i jednania dusz ludzkich w Mandżurii. Będą to dzieje żywota nie efektownego w zewnętrzne wypadki, lecz głębokiego w treści moralno-duchowej.

Na zakończenie znowu wspomnienie osobiste. Ks. Abrantowicza długo, bardzo długo, bo od czasów petersburskich, nie widziałem. Spotkałem go po raz ostatni niedługo przed wojną 1939 r. na ulicy Mickiewicza, koło skweru Orzeszkowej w Wilnie. Szedł wolno i przyglądał się z widocznym zaciekawieniem tym zmianom urbanistycznym i kulturalnym, które zaszły w Wilnie w okresie dwudziestolecia. Wyglądał już inaczej niż w czasach petersburskich. Jego czarne, na jeża kiedyś noszone włosy, były dłuższe i przyprószone siwizną. Miał średnich rozmiarów brodę, nieco przytył. Jeden rys tej postaci, rys niezmienny i niezmieniony od dawnych czasów utkwił mi w pamięci: to czarno-brązowe, żywe, mądrze patrzące oczy, pełne skupienia, ale i wewnętrznych błysków...

Nigdy bym nie pomyślał, obejmując serdecznym spojrzeniem Księdza Fabiana, wówczas już wybitnego monsignora Stolicy Apostolskiej, że niebawem go czeka śmierć męczeńska, a dziś dodaję, może i proces kanonizacyjny. Do dziś dnia go widzę przemawiającego z zapałem i przekonaniem z katedry w auli gimnazjum św. Katarzyny w Petersburgu. Pozostał dla mnie żywym symbolem myśli i czynu, zharmonizowanych dokładnie w dążeniu do jednego celu.

Tym celem było — apostolstwo.

Wiesław Żyliński

PLASTYKA

SPOSOBIKI

Takie właśnie słowo przyszło mi na myśl po dzisiejszej wycieczce poprzez galerie sztuki na West Endzie. Panoszy się choroba robienia za wszelką cenę nowości; tymczasem nowości prawdziwej, jako nieodłącznego atrybutu każdego dzieła sztuki, nie da się sztucznie zrobić. Otrzymałem kilkanaście listów od moich czytelników z zapytaniem, dlaczego nic nie napisałem o rozgłośnym Sylwestrze Dali. Odpowiedź prosta: gdy ktoś pisze recenzje o teatrze, zazwyczaj nie uwzględnia cyrku; właśnie twórczość Sylwestra Dali (i jemu podobnych) ma się do malarstwa jak cyrk do teatru. Atmosfera wrzaskliwej reklamy, ceny po 15 tysięcy funtów za ekstrawagancki bohomaz, gdy taką właśnie cenę płaci się za arcydzieło Botticellego — odpowiada ordynarnością i beztreścią obyczajów — ordynarności i beztreści dzieł Dali, o których zapisano foliały druku.

W Hannover Gallery są wystawy Francis Bacona i Williama Turnbul'a; pierwszego w The Listener krytyk Sylwester nazywa jednym z najbardziej wstrząsających malarzy współczesnych. Istotnie, nazwisko to jest coraz głośniejsze na terenie Londynu od dwóch lat. Nie znajduję innego na to wytłomaczenia, jak zatratę orientacji w komentowaniu tezy: każda prawdziwa sztuka musi mieć nowe środki wyrazu, z czego nie wynika, że nowe środki wyrazu muszą tworzyć prawdziwą sztukę. Nikt nie zaprzeczy Baconowi autentyczności jego dziwactw, ale dziwić się należy, że zwykła pseudo toniczność brudno atramentowych kolorów, rozpuszczonych bielą i rozemglone pseudo-formy mogą być brane serio przez ludzi, którzy się parają sztuką. William Turnbull chce być świeżo naiwny w rzeźbach i w malarstwie. W wyniku jest tylko płaski i niedołężny. Również w Lefevre Gallery, wystawa zbiorowa Bolthusa, Polaka z pochodzenia (Aleksander Kłosowski) rozczaruje brakiem istotnej wrażliwości malarskiej. W tej samej galerii kilka prac wiszących obok w korytarzu orzeźwia po przejedzeniu się kiczami. Śliczną jest mała, utrzymana w czerwono-różowych tonach, abstrakcja Pawła Klee. Zaraz przy wejściu szereg doskonałych francuzów z drugiej połowy XIX go wieku. Między innymi rysunek ołówkowy Cezanne'a „Głowa Żony" i piękny plein-air Renoira „Dziewczyna wśród zieleni".

Wystawa „Pierwsze 100 lat Akademii" w Burlington House przy Piccadilly, mimo szeregu płócien naprawdę wielkich malarzy angielskich, jak Turner i Constable, jest tak zaśmiecona napuszonymi oficjalnymi elukubracjami malarskimi, że trudno powściągnąć ziewanie po jej zwiedzeniu. W Institute of Contemporary Art, przy 17 Dover Street, jest wystawa młodych rzeźbiarzy. Stosuje się do tego pokazu par excellence tytuł niniejszego artykułu: sposobiki. Trudno się dziwić, że po takich wystawach ludzie powtarzają nie prawdziwe zdanie o wyjałowieniu i sztuczności plastyki nowoczesnej. Nie: plastyka nowoczesna istnieje, ale zaiste nie na tych pokazach.

MARIAN BOHUSZ-SZYSZKO

KSIĄŻKI I CZASOPISMA OBCE

KSIĄŻKA ZBIOROWA O MICKIEWICZU.

Niemal równocześnie z książką zbiorową o Juliuszu Słowackim, wydaną w Londynie przez Polish Research Centre, ukazała się nakładem Columbia University Press w Nowym Jorku książka zbiorowa pod redakcją Manfreda Kridl'a pt. „Adam Mickiewicz: Poet of Poland. A Symposium" (jako przedstawicielka wydawców w Londynie występuje firma Cumberlege, cena 32 sh. 6d.)

Na czoło wybija się w niej studium Wacława Borowego pt. „Poet of Transformation". O „Panu Tadeuszu" pisze Józef Wittlin. Ogólną charakterystykę Mickiewicza, która musi budzić sporo zastrzeżeń, daje na wstępie Manfred Kridl.

Książka omówiona została w „Times Literary Supplement" z d. 8 lutego. Recenzent podkreśla jednostronność tej zwłaszcza części książki, która zajmuje się kolejami życia Mickiewicza. „Wiele podróży i działań politycznych Mickiewicza — pisze — zostało albo pominiętych, albo też wymieniane są tylko mimochodem, choć wywarły one głęboki wpływ na charakter poety. Istnieje tendencja do przemilczania tej dziedziny prac Mickiewicza, która wyrażała zmagania się Polaków z Rosjanami. Dobór jego artykułów dziennikarskich i pism politycznych jest bardzo niereprezentatywny; widoczne jest w tym doborze dążenie do przedstawienia poety prawie jako marksistowskiego socjalisty, podczas gdy w rzeczywistości był on zarazem mistykiem i nacjonalistą".

W zakończeniu recenzent wytyka brak bibliografii, co jest „szczególnie pożałowania godne w książce, obejmującej studia naukowe i wydanej pod auspicjami drukarni uniwersyteckiej".

Niecała jednak książka doczekała się tak ostrej krytyki. Studium Borowego recenzent uważa za „jedną z najświetniejszych analiz poezji Mickiewicza".

ANGIELSKIE WYDANIE KSIĄŻKI KENNANA. Książka nowego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Moskwie George F. Kennana „American Diplomacy, 1900—1950", która rozbudziła takie zainteresowanie w całym świecie, pojawiła się obecnie w wydaniu londyńskim, nakładem firmy Seeker and Warburg. Cena 12 sh. 6d.

JEDNOSTRONNOŚĆ NA RZECZ NIEMIEC. „New York Times" z d. 20 stycznia zamieszcza artykuł redakcyjny p.t. „Maps and Boundaries" („Mapy i granice"), w którym wzywa wydawców map i atlasów geograficznych, by wystrzegali się uznawania jednostronnych aneksji sowieckich przez oznaczanie ich na mapach normalnymi liniami granicznymi. W większości nowych atlasów — pisze „New York Times" — „trzy państwa bałtyckie: Estonia, Łotwa i Litwa, których niepodległość nadal uznawana jest przez Stany Zjednoczone i przez większość wolnych narodów, zostały beztrosko wcielone do Związku Sowieckiego. To samo dotyczy północnego krańca Prus Wschodnich, południowej części Sachalinu i Wysp Kurylskich, których los oficjalnie zależny jest od końcowych układów pokojowych. Co więcej, niektóre z atlasów sugerują przez odpowiednie barwy, że Korea i Finlandia stanowią także część sfery sowiewieckiej".

Rzecz zdumiewająca, że autor artykułu w tym, tak szczegółowym, wyliczeniu pominął zupełnie Polskę wschodnią (podobnie zresztą jak Ruś Podkarpacką, Besarabię i północną Bukowinę). Gnębi go natomiast fakt, że w wielu atlasach obszary po Odrę i Nysę Łużycką zostały określone jako część Polski.

„To samo — pisze — dotyczy Polski, do której Sowiety w podobnie jednostronny sposób przyłączyły wielką część Niemiec wschodnich, choć obszar ten został tylko oddany pod administrację polską i ostateczne wykreślenie granicy polsko-niemieckiej oczekiwać musi również końcowego układu pokojowego. Podczas gdy nasz rząd odmawia uznania linii demarkacyjnej na Odrze i Nysie za granicę ostateczną, kreślarze map uznają tę granicę i w ten sposób idą na rękę Sowietom".

Autor artykułu zapomniał tu dodać, że w Poczdamie obszary po Odrę i Nysę Łużycką nie tylko przekazane zostały oficjalnie pod administrację polską, ale że równocześnie zebrani na konferencji przedstawiciele mocarstw, ze Stanami Zjednoczonymi włącznie, postanowili, że z obszarów tych wydalona ma być cała pozostała ludność niemiecka, by zrobić miejsce dla Polaków, co też zostało dokonane. W ten sposób granica Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej nabrała charakteru ostatecznego, i to wcale nie w sposób „jednostronny". Jednostronnie natomiast potraktowana została w artykule na niekorzyść Polski sprawa jej granic, zarówno od wschodu, jak zachodu,

ENCYKLOPEDIA MUZYKI. Wśród licznych doskonałych wydawnictw encyklopedycznych Oxford University Press znajduje się m.in. rodzaj encykopedii muzycznej pt. „Oxford Companion to Music", zredagowanej przez Percy A. Scholesa. Jest to jednak rzecz duża i droga toteż Oxford University Press zdecydowała się ostatnio na wydanie streszczonej wersji tej książki. Ukazała się ona w tych dniach pt. „The Concise Oxford Dictionary of Music". Cena 18/-.

RADOSNA NIESPODZIANKA. „Figaro Littéraire" przytacza następującą anegdotę, krążącą po Montmartre:

Żona pewnego pana, ciężko chorego na serce, wygrała ogromną sumę na Loterii Narodowej. Powstało pytanie, jak o tym zawiadomić męża, dla którego niebezpieczne było każde silne wzruszenie. Zatroskana małżonka dzwoni do lekarza o poradę. „Niech Pani będzie spokojna — odpowiada eskulap. — Ja już to załatwię w odpowiednio ostrożny sposób".

Nazajutrz doktór, niby mimochodem, wpada do biura pana, cierpiącego na serce. „Jak zdrowieczko?" — pyta. — „Czuję się doskonale, Panie Doktorze!" — Można więc Pana poczęstować jakąś emocją?" — „Ależ naturalnie, bardzo proszę!" — „Czy można więc Panu powiedzieć, że wygrał Pan ...hm... milion na Loterii Narodowej?" — „Och, Panie Doktorze! Milion w dzisiejszych czasach to chyba nie za wielka emocja..." — „A dziesięć milionów?" — „W tym wypadku, Doktorze, kupiłbym mieszkanie..."

Doktór widzi, że nadeszła sposobna chwila. Nabiera oddechu i wali: „A co by Pan zrobił, gdyby Panu przypadła wielka wygrana: sześćdziesiąt milionów, drogi Panie?" — „Doktorze — oświadcza sercowy jegomość —, w tym wypadku dałbym Panu z miejsca dziesięć milionów!"

Usłyszawszy to, doktór dostaje ataku i pada martwy.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

SZTUKI PIĘKNE W WIELKIEJ BRYTANII ZA JERZEGO VI

W „Observerze" z d. 10 lutego znany krytyk literacki i artystyczny Ivor Brown daje charakterystykę życia kulturalnego w Wielkiej Brytanii w ciągu ostatniego półwiecza, to jest od zgonu królowej Wiktorii do zgonu Jerzego VI. Za panowania tego ostatniego króla zaszły w kraju wielkie przeobrażenia, które ostatecznie przesunęły opiekę nad sztukami pięknymi z rąk prywatnych mecenasów w ręce państwa.

„Struktura społeczna okresu Edwarda VII — pisze Brown — zawaliła się doszczętnie; nie jesteśmy jednak narodem o instynktach morderczych i dlatego pozwoliliśmy dokonać dzieła kata poborcom podatków. Nastąpiła więc euthanasia bogaczy w bezkrwawej rewolucji, która przekazała do rąk „National Trustu" tak wielką liczbę zamków i pałaców, że przekroczyło to zdolność tej instytucji do zaopiekowania się nimi, a pozostali „milordzi" zdegradowani zostali do roli poborców opłat za wstęp do swych rezydencji... w desperackim wysiłku zaspokojenia nienasyconych roszczeń urzędów podatkowych, hipotecznych i podatku spadkowego... Państwo, które w dawnym okresie dostatków było ogromnie niechętnym patronem sztuk pięknych, zabrało się do tego, co prawda w skromnym i raczej doświadczalnym zakresie, do tego, by spełniać rolę patrona w miejsce wysadzonego Mecenasa".

Okres zniszczeń, „blackoutu" i „austerity" w czasie drugiej wojny światowej wywołał prawem reakcji pragnienie piękna i barwy. Toteż w okresie tym zaznaczył się ogromny wzrost czytelnictwa oraz masowe poparcie, udzielane przez publiczność przedstawieniom baletowym i muzyce orkiestrowej. Balet, który dawniej był rozrywką nielicznych gron wybrańców, stał się popularny — i dzięki wyjazdom zespołów tanecznych do Ameryki stał się nawet jednym z artykułów eksportu dolarowego i dodatnią pozycją w bilansie płatniczym kraju. Architektura, która przez tak długi czas służyć musiała budownictwu ściśle użytkowemu, znalazła wreszcie pole do popisu w czasie Festiwalu Brytyjskiego w roku ubiegłym.

Przełamanie tradycyj — stwierdza Brown — pociąga zawsze za sobą w nowych prądach skłonność do skrajności i przesady. Kiedy dawniejsza kapryśna architektura ustąpiła miejsca architekturze funkcjonalnej, ta na ogół rozgłośna przemiana dała pole do niedorzecznych wybryków. Wystarczy spojrzeć na kubistyczne pudła, pretendujące do tego, by być dworkami wiejskimi. Nabudowano ich mnóstwo w latach trzydziestych, a dziś są już równie anachroniczne, jak najgorsze neogotyckie wille epoki wiktoriańskiej.

Brown, ostrożnie zresztą, pisze o możliwości rozwoju sztuk pięknych w nowej epoce „elżbietańskiej" — o ile pokój w świecie będzie utrzymany.

ZGON NORMANA DOUGLASA

W wieku lat 83 zmarł na Capri powieściopisarz i essayista angielski Norman Douglas. Urodzony w r. 1868 z ojca Anglika i matki Bawarki, zdobył sobie rozgłos powieścią „South Wind", wydaną w r. 1917. Następną jego powieść nosiła tytuł „They Went", później przyszła seria doskonale napisanych książek podróżniczych, jak „Old Calabria" (1920), „Alone" (1921) i inne.

Norman Douglas był ostatnim z tej kolonii pisarzy i artystów różnych narodowości (należał do nich Maksym Gorki), którzy upodobali sobie Capri i tu spędzali dużą część swego życia.

NOWA SZTUKA RELIGIJNA

Interesującym przejawem życia teatralnego w Anglii jest coraz większa liczba sztuk teatralnych o podłożu lub tendencjach religijnych. Obok sztuk T.S. Eliota i Christophera Fry przyszła obecnie kolej na utwór Miss Dorothy Sayers „Christ's Emperor", w którym czołową postacią jest cesarz Konstantyn Wielki, a jednym z wydarzeń przedstawionych na scenie, sobór nicejski. Sztuka, która grana jest w St. Thomas's Church przy Regent Street, spotkała się u krytyków z przyjęciem chłodniejszym, niż wystawiony tam poprzednio utwór sceniczny Christophera Fry.

„OLD VIC" W FINLANDII

Zespół teatralny „Old Vic" przybył na szereg występów do Helsinek, stolicy Finlandii i cieszy się tam dużym powodzeniem. Korespondent „Sunday Times" stwierdza, że w bitwie „kulturalnej", toczącej się między wpływami angielskimi a sowieckimi w Finlandii, szala wyraźnie przechyliła się na stronę angielską, co w pewnej mierze jest wynikiem polityczno-propagandowego charakteru imprez sowieckich, przede wszystkim jednak spowodowane jest kulturalnym ciążeniem Finlandii ku zachodowi. W Helsinkach grane są ciągle z wielkim sukcesem sztuki angielskie, francuskie i amerykańskie w tłumaczeniu na język fiński. Nawet w tak niedużym ośrodku prowincjonalnym jak Tampere, wystawiono z pełnym powodzeniem sztukę Eliota „The Cocktail Party". W tłumaczeniach na język fiński ukazują się książki T. S. Eliota, George Orwel'a i Grahama Greene'a.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly. ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przesyłać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1; w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: Mme E. Kulakowska. 101. rue Auguste Lambiotte, Bruxelles 3 — FRANCJA: mies. 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mała „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2. i Księgarnia „Wiedza" Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas. Section Suise, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 $., pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski. 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication. 808, Wager St. Utica 3) E. Bagiński. 3690 Helen Avenue. Detroit 7 Michigan 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press. 12, Praed Mews London W.2. Tel: PAD 9734